



Mój Górnik

opracowanie i redakcja Dominik Hołda

SPIS TREŚCI

I. Mój pierwszy raz

„Do dziś pamiętam słowa taty: ‘Schowaj nóżki’”

II. Derby, derby, derby...

„Złośliwość? Zero. Agresja? Zero. Atmosfera wzajemnej wrogości? Wcale. Czy to możliwe?”

III. Choinki

„Jesteście w stanie wyobrazić sobie szatnię na Teatralnym pachnącą zimą, mrozem, prezentami i zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia?”

IV. Nasi, czyli moi

„Przecież mieszka parę klatek ode mnie, znam go od „zawsze”, czemu nikt mi nie powiedział, że to koszykarz?”

V. Warszawa 74

„Wchodzimy w przejście podziemne. I nagle, wśród zawsze śpieszących się warszawiaków dostrzegamy...”

VI. Rywale

„Żaden (...) nie miał na głowie korony”

VII. Mistrzowie drugiego planu

„Każdemu kandydatowi na koszykarza trzeba wykonać tylko dwa podstawowe badania. Krwi i ... kału. Trzeba się przekonać, czy ów ma koszykówkę we krwi czy w du...”

VIII. Warszawa 89

„Górnik grał mecz z Legią. Pociąg z Warszawy do Wałbrzycha miałam o 22.08... Postanowiłam spróbować inaczej dostać się do mego miasta...”

IX Stadion

„Tu trenują również zawodnicy innych sekcji, a Górnik ma ich siedem. Czy szachiści też dźwigają? To przedmiot naszych żartów”.

X. Rodzice

„Samo urodzenie się w szpitalu na Paderewskiego wydaje mi się niewystarczające do wytłumaczenia, dlaczego Górnik jest miłością mego życia”

XI. Nowe Miasto

„Ludzie czekali nie wiedząc czy będą jakieś miejsca, czy nie. Jakie było rozczarowanie, gdy było jedno lub dwa...”

XII. W pogoni za idolami

„Uznałam, że najważniejsze to zlokalizować miejsce ich zamieszkania. Potem założy się punkt obserwacyjny, podpyta się sąsiadów i zakres wiedzy o idolach znacznie się poszerzy”

XIII. Rocznie

„Dyrektor chyba zadal retoryczne pytanie, co zrobię, jak mi tego wolnego nie da. Oczywiście, że pojedę”

XIV. Pielgrzymka

„Moi znajomi jeżdżą do Częstochowy w innym celu. O co zapytają jak powiem, że byłam w tym mieście? O Górnik? Ha, ha, ha! Na pewno nie! Ale jaja co?”

XV. Mój ostatni raz...

„Myślałam, że już nigdy nie zobaczę Górnik na mojej hali... Jak bardzo się myliłam...”

XVI. Janusz Krzesiak [*] 2012

„Chłopak z tamtych lat”

XVII. Mój numer 6 [*] 2019

„Chłopak z mojej drużyny. Członek drużyny, który koszykówki mnie nauczył i dzięki której koszykówkę pokochałam”

XVIII. Rzucający za trzy - [*] 2019

„W drużynie sławnego w Polsce pierwszoligowego Górnika Wałbrzych zobaczyłam.... swego sąsiada”

XIX. Wałbrzych w blasku złota

„W Polsce nikt nie wierzył, że wygramy. Nikt, oprócz nas - trzech tysięcy kibiców i wielu na zewnątrz hali”

XX. Oddech Górnika

„Podeszłam do stanowiska komentatorów. Kazano mi usiąść na trzecim krześle. Znajomy szepnął do red.

Szaranowicza: ‘Ona naprawdę zna się na koszykówce’”

PRZEDMOWA

Cofnijmy na kilka chwil wskazówki zegara. Grażyna Kulesza Szypulska przywraca pamięć o czasach minionych. Jej osobista opowieść dla tych nieco starszych czytelników będzie nostalgiczną podróżą do pięknej przeszłości, a dla tych odrobinę młodszych cenną wycieczką edukacyjną. Gdy Górnicy święcili triumfy, nie było internetu, telewizyjne relacje z wydarzeń sportowych raczkowały, a przekaz opierał się na słowie pisanim. Autorka w swojej pasjonującej opowieści ocala bohaterów lokalnej koszykówki od zapomnienia. Za sprawą swojego niezwykle przywiązania do biało-niebieskich barw daje im nowe, drugie życie. Dla wielu, w tym dla mnie, który przyszedł na świat rok po ostatnim mistrzostwie Polski Górnika, historia Cioci Grażynki, bo tak ją przecież wszyscy nazywamy, przedstawia obraz, będący dopełnieniem sprawozdań naszych rodziców i dziadków. O tym, jak pięknie to kiedyś było. Obraz wałbrzyskiego basketu sprzed lat, do niedawna zakurzony i niewyraźny, odżył, ponownie nabierając barw.

Dominik Hołda

„Wałbrzych dla Was”

Tygodnik „WieszCo”

I

Mój pierwszy raz

„Do dziś pamiętam słowa taty: ‘Schowaj nóżki’”.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam w akcji koszykarzy Górnika Wałbrzych? Żebym to ja pamiętała... Było to na pewno w latach sześćdziesiątych... W mej pamięci utkwiło kilka szczegółów z zamierzchłych czasów. Tato Mirosław, działacz piłkarski, zimą zabierał mnie na „kosza”. Z ulicy Ogińskiego na Plac Teatralny (wówczas ul. Masarska) szliśmy pieszo przez Park Sobieskiego. Do hali wchodziło się wejściem od strony teatru. Bilety sprzedawano przez zakratowane okno. My biletów nie kupowaliśmy – wejście darmowe, przywilej działaczy. W środku po jednej ze stron znajdowało się prywatne mieszkanie gospodarza hali. Były tam też szatnie dla zawodników. I wreszcie wejście na halę.

Ha, ha, ha! Ładnie powiedziane – hala. W rzeczywistości była to zwykła sala gimnastyczna, obstawiona ławeczkami, na której siadywali kibice. Do dziś pamiętam słowa taty: „Schowaj nóżki”. Nóżki trzeba było schować pod ławeczkę, gdyż wystawione mogły skrzywdzić zawodnika – po prostu mógł na boisku paść jak długi. Jednym za najczęściej wykonywanych sędziowskich gestów było wskazywanie kibicom, aby zdjęli stopy z linii bocznych boiska. Po wielu latach pewien warszawianin, któremu przytrafiło się zagrać w sali Górnika, gotów był przysiąc, że jakiś kibic nogę mu podstawił. Oczywiście winę wzięłam na siebie, nie posłuchałam ojca i nie schowałam nóżek.

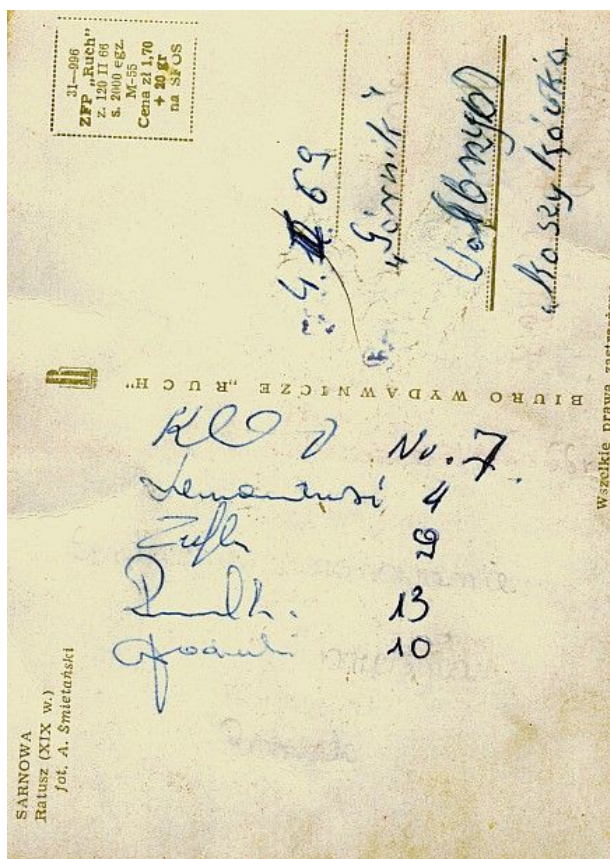


Trzej przyjaciele z Górnika. Od lewej: Stefan Burzyński, mój tata Mirosław Kulesza i Stefan Molka, Wałbrzych 1963

Aha, jeszcze ważne miejsce. W końcowej części boiska (naprzeciwko wejścia) była tablica wyników, chyba z drewna, z haczykami na cyfry. Wymianą cyfr, czyli aktualizacją wyniku meczu zajmowali się trochę starsi ode mnie ludzie. Zegara oczywiście nie było. Czas mierzono stoperem

przy stoliku sędziowskim.

W takiej oto hali-sali Górnik wywalczył awans do I ligi. Już wówczas na Ratuszowej wybudowano dużą i nowoczesną halę sportową, należącą do lokalnego sportowego rywala - Zagłębia. I nie było wyjścia. Pierwszoligowy Górnik nie mógł grać w warunkach typowych dla kosza amatorskiego. Nie wypadało. Dziś sprawy warunków rozgrywania meczów regulują przepisy. Jak było wówczas? Nie wiem. W każdym razie na teren obiektu przy Teatralnym wkroczyła ekipa remontowo-budowlana, a nasi sezon rozpoczęli na Ratuszowej.



Autografy wałbrzyskich koszykarzy rok 1969: nr 7 – Leon Klonowski, 4 – Janusz Lewandowski, 9 – Mieczysław Zenfler, 13 – Bogusław Rutecki, 10 – Jacek Grodecki

Kiedy budowa-remont dobiegł końca, nieoczekiwanie zarząd Górnika zaproponował mojej rodzinie prowadzenie szatni dla kibiców w wyremontowanej hali. Rodzina umowę stosowną podpisała i udała się na pierwszy mecz, towarzyski rzecz jasna, z okazji oddania obiektu do użytku. Było to **trzeciego lutego 1971 roku**. Poszliśmy oczywiście pieszo utartym szlakiem, weszliśmy jak poprzednio – wejściem od teatru, ale potem czekała na nas niespodzianka. W dawnej sali gimnastycznej pojawiła się widownia, po prostu dobudowano ją. Jakże wydawała się wielka! Nie koniec niespodzianek. Przeszliśmy obok nowych szatni dla zawodników i znaleźliśmy się w szatni dla kibiców. Tu również znalazło się dla nich nowe wejście. Duże jasne okna sprawiały, iż było jasno i czysto. (Dlaczego je potem zamurowano?)

Mnie szybko przegoniono z szatni. Usiadłam więc w pierwszym rzędzie ławek, takim z napisem „zarezerwowane” i czekałam. A tu kolejna niespodzianka – prawdziwy zegar i tablica wyników na autentyczny prąd! Z kolorowymi światełkami! Ludzie przychodzili i siadali na

ławkach. Szatnia kibiców zappełniała się. Aż wreszcie coś zaczęło się dziać na boisku. Od strony starego wejścia, ze starej szatni wyszła na rozgrzewkę drużyna Górnika, z nowej – Śląska Wrocław. Długo jeszcze Górnik korzystał ze starej szatni....Przywiązanie? Szatnia szczęścia?

Nasi rozlokowali się tuż przede mną. Od zawodników dzieliła mnie tylko niewielka, metalowa barierka. Podczas meczu widziałam spocone twarze koszykarzy, czułam szybkie oddechy, słyszałam wskazówki trenera. Mecz rozgrywał się tuż przy mnie. Brali w nim udział: przystojny blondyn Mieczysław Zenfler, ówczesny kapitan zespołu Janusz Krzesiak, mój sąsiad z podwórka Poldek Podstawczyński, niezwykle waleczny Witek Domoradzki, rudowłosy Adam Dąbrowski, młodziutki i szczupłutki Staszek Ignaczak, dwóch ciemnowłosych: Jacek Grodecki i Edmund Czerwiński oraz Ryszard Białowąs, rodem ze ...Śląska Wrocław.

I to był tak na serio mój pierwszy raz. To była miłość od pierwszego wejrzenia, która trwa i trwa. Jaki był wynik tamtego towarzyskiego meczu? Nie pamiętam. Najważniejsze, że Górnik wygrał, a ja rozpoczęłam nowy rozdział w swoim życiu.

II

Derby, derby, derby...

„Złośliwość? Zero. Agresja? Zero. Atmosfera wzajemnej wrogości? Wcale. Czy to możliwe?”

W 2011 roku miał ziścić się koszmar. Koszykarski Górnik znika z mapy Polski. Kibice nie spali po nocach. Nie mogli spokojnie napić się piwa. Ale nadeszło przebudzenie. Ktoś? (coś?) zgłosił nasz ukochany klub do, najniższej co prawda, ale zawsze ligowej gry na parkiecie. I wtedy kolejne olśnienie! Będą wałbrzyskie derby!

Ojej, nie marudźmy, wiem, że III liga nie zaspokaja naszych górniczych tradycji. Ale - przysłowia mądrością narodu - zatem „Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma” oraz „Na bezrybiu i rak ryba”. Póki więc bratobójcza walka o mistrzostwo co najmniej Polski pomiędzy „Górnikiem Wałbrzych” a „x Wałbrzych” pojawia się jedynie w sennych marzeniach najwierniejszych kibiców obu drużyn, cieszymy się. Może warto przy tej okazji przypomnieć sobie jak to ongiś bywało, jak w czasach (określanych przez niektórych) przed potopem - nieważne którym, zawsze jakaś powódź była - rozgrywano koszykarskie derby. O piłkarskich wałbrzyskich derbach wiele już powiedziano i napisano. A koszykarskie?

Autorka niniejszego tekstu pamięta co prawda kilka potopów, ale nie wszystkie, zatem też musi posłużyć się czymś, co się zowie materiałami źródłowymi. Zakorzeniona w genach miłość do Górnika spowoduje również, iż Górnik to będzie Górnik, a tamci to będzie zawsze ta druga drużyna. Cóż, „zagłębiacy” i „toreziacy”, wybaczcie...

Pierwsze wzmianki o koszykówce w Wałbrzychu to oczywiście zaczarowany rok 1946, początek ruchu sportowego w naszym mieście. Pierwsze rozgrywki, pierwsze zwycięstwa i porażki w klasie A. W tabeli sezonu 1950/51 dziesięć drużyn - z Wałbrzycha jedna, z Wrocławia sześć. W sezonie 1955/56 w tabeli ligi walczącej o prawo gry o awans do II ligi, obok naszego Górnika, pojawia się Górnik Thorez Wałbrzych - wycofał się w trakcie sezonu. Biorąc pod uwagę, iż Thorez Wałbrzych to późniejsze Zagłębie Wałbrzych, być może wtedy doszło do pierwszych wałbrzyskich derbów? Kto wie... W każdym razie drugi wałbrzyski klub wycofał się, a nasz wywalczył po raz pierwszy awans do II ligi. Kolejna wiadomość o drugiej drużynie koszykówki w naszym mieście pojawia się w historii Górnika w sezonie 1967/68 . Do użytku została oddana nowa hala przy ulicy Ratuszowej. Nie da się ukryć... Była lepsza niż salka przy Placu Teatralnym. Zajęli ją właśnie koszykarze Zagłębia. Chcieliśmy grać na nowej. Wszak jesteśmy druga liga. Nic z tego. Nie lubimy się z Zagłębiem? Mój tata (pracownik KWK¹ „Wałbrzych”) twierdził, że Zagłębie nie lubi nas. Mój wujek (sztygar w KWK „Thorez”) oznajmił podczas rodzinnej uroczystości, że to Górnik nie lubi Zagłębia. Jednym słowem nie lubimy się. Co oczywiście nie wpływa na stosunki rodzinne (są dobre).



Dom wypoczynkowy KWK Wałbrzych w Świnoujściu lata 60-te

Lokalny rywal Górnika pojawił się w sezonie 1969/70 w rozgrywkach II ligi. Rywalizujący o awans do I ligi Górnik spotkał się z Zagłębiem Wałbrzych. W biało-niebieskich barwach zagrali już dobrze mi znani ludzie: Domoradzki, Zenfler, Podstawczyński, Krzesiak, Dąbrowski, Kaczorowski, Białowąs, Grodecki, Rutecki, Lewandowski, Ignaczak. Trenerem tej niesamowitej ekipy był oczywiście Stanisław Rytko. Drużynę Zagłębia prowadził natomiast Jerzy Sterenga - legenda wałbrzyskiej koszykówki. Pierwszy mecz u siebie wygrywamy 73:72 (33:29), drugi „na wyjeździe” 91:75 (45:40). Warto przypomnieć, kto wówczas punktował po obu stronach. Górnik: Domoradzki 26, Białowąs 20, Zenfler 19, Dąbrowski 15, Podstawczyński 6, Rutecki 4, Krzesiak 1;

¹KWK – Kopalnia Węgla Kamiennego

Zagłębie: Kalembka 21, Dolczewski i Widertowski po 14, Płachtyna 9, Kowalewski 8, Proć 4, Zieliński 3, Piłasiewicz 2.

Ach, co to musiały być za mecze! Górnik był najlepszą drużyną w lidze, Zagłębie zajęło wówczas piątą lokatę. Po uzyskaniu awansu niewielu wie i niewielu pamięta, iż mecze pierwszej rundy oraz częściowo drugiej Górnicy rozgrywali na hali Zagłębia przy ul. Ratuszowej. Polubili nas czy co?

Po rocznej grze w I lidze Górnik ponownie znalazł się w II i ponownie spotkał się z lokalnym rywalem. I znowu było ciężko. Pierwszy mecz odbył się „na wyjeździe”. Wygraliśmy 81:79. Drugi mecz u siebie – również na styku, 60:57. Pamiętam oba mecze. Adrenalina na maksa. Wypieki na twarzy, zachrypnięte gardło. Złośliwość? Zero. Agresja? Zero. Atmosfera wzajemnej wrogości? Wcale. Czy to możliwe? A może już pamięć mnie zawodzi?

„Nie, nie było takiej wrogiej atmosfery jak na piłce nożnej. Kibice byli życzliwi wobec siebie, zawodnicy też. Coś tam działacze mieli przeciwko sobie... Ale my zawodnicy żyliśmy w dobrej komitywie. Do tej pory mam dobry kontakt z Wojtkiem Kalembką (ówczesnym koszykarzem Zagłębia). Niedawno nawet spotkaliśmy się i trochę porozmawialiśmy. A tamte mecze były bardzo zacięte, dobre, ledwo wygrywaliśmy” - wspomina Mieczysław Zenfler, gwiazda ówczesnej drużyny Górnika, słynący z niesamowitych rzutów hakiem (wypowiedź z 2010 r.). W tamtym sezonie Zagłębie zajęło dziewiątą lokatę w rozgrywkach II ligi.

Zenfler przypomina też postać innego koszykarza Zagłębia - Marka Zielińskiego. Grał w tamtych derbach. Natomiast w sezonie 1973/74 występował w Górniku. Było to po kolejnym, drugim spadku z I ligi. Prowadzony przez Jerzego Sterengę zespół ponownie rozpoczął grę o awans do grona najlepszych, a w jego barwach właśnie był rywal zza miedzy. I nie byłoby może w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, iż Marek to... ojciec późniejszego wielokrotnego reprezentanta Polski i legendy Śląska Wrocław, Macieja Zielińskiego. Ot, mały ten świat... Polska jeszcze mniejsza, a Dolny Śląsk to już w ogóle... Nazwisko Marka Zielińskiego w barwach Górnika obecne jest jeszcze w sezonie 1974/75.

Kiedy Górnik po raz trzeci z rzędu opuszczał I ligę, w II już Zagłębia nie było. Jak podaje „Trybuna Wałbrzyska”, sezon 1972/1973 był totalnie nieudany. Wałbrzyskie drużyny koszykówki spadły do niższej ligi.

I na tym chyba kończy się historia wałbrzyskich derbów. Minęło wiele lat, wiele wody upłynęło w Pełchnicy, autorce tego tekstu wyrosły siwe włosy, zanim doczekaliśmy się koszykarskiego „bratobójczego” meczu. Grudzień 2010 i spotkanie charytatywne. Cieszę się, że to właśnie moje zdjęcie stało się podstawą niezwykle plakatu tego jakże wyjątkowego spotkania. Spotkaliśmy się na parkiecie, by uczcić pamięć zmarłego Staszka Anacko, udało się nam pokazać, że Wałbrzych koszykówką stoi. Historię derbów znamy. Teraz my ją tworzymy².

²Przy pisaniu niniejszego artykułu korzystałam z wydawnictwa „60 lat minęło – JKKS Górnik” oraz zachowanych we własnym archiwum artykułów „Trybuna Wałbrzyskiej”.

III

Choinki

„Jesteście w stanie wyobrazić sobie szatnię na Teatralnym pachnącą zimą, mrozem, prezentami i zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia?”

Teraz poplotkujemy. Bez nazwisk i dat. Wszystko działo się w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych w hali przy Placu Teatralnym w Wałbrzychu. I na tym koniec danych. Oto ponownie szatnia dla kibiców. Było to niesamowite miejsce. Wyglądało inaczej niż obecnie. Przypominało typową szatnię teatralną, w której znajdowało się ponad 300 wieszaków z numerkami. Za pozostawienie płaszcza lub kurtki kibic płacił 50 gr.

Pierwszą czynnością, jaką wykonywaliśmy po przyjeździe na halę, było sprawdzenie zgodności numerku wiszącego z numerkiem zapisanym na wieszaku. Ważna sprawa. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wydany numerok nie zgadzał się z płaszczem...W szatni rozmawiano o wielu zakulisowych sprawach, bo to tu przebywali działacze, przechodzili tędy zawodnicy i przychodzili kibice. Początkowo rodzice i ich znajomi nie zwracali na mnie uwagi, ale później niestety często kazali wychodzić na widownię, bo zaczynałam odkrywać niektóre tajemnice. Ale nie one wówczas stanowiły centrum moich zainteresowań. Oprócz naszych wspaniałych koszykarzy przyglądałam się ich... kobietom.

Narzeczone, żony i dziewczyny wchodziły do szatni razem z życiowymi partnerami. Niektóre zdejmowały płaszcz i oddawały panom (okrycia te zawisły w szatni zawodników), inne pozostawiały je w „naszej” szatni. Natomiast wszystkie koszykarskie kobiety siadały na widowni w jednym miejscu - po stronie wejścia do szatni zawodników, kilka rzędów w górę od ławki z reguły zajmowanej przez drużynę gości. Tam też siadywała pani Hania Rytko. Ze swego stałego miejsca często zerkałam na nie i zazdrościłam...

Dla stałych klientów w naszej szatni był wydzielony wieszak. Wieszaliśmy na nim płaszcze i kurtki bez konieczności wydawania numerku. Jedno okrycie zimowe znałam na pamięć: długie, ciemny brąz, metka z wieżą Eiffla i napisem „Paris”... Paryskie futro trafiało w najdalszy zakątek szatni, by nie rzucało się w oczy. Jego właścicielka zawsze z nami pogadała, a kiedyś przyniosła talerz „chrustów”, własnego wypieku oczywiście. Po wielu latach zapytałam jej męża, czy futro rzeczywiście było prawdziwe i pochodziło z Paryża. Potwierdził.

Innym razem kolejny z naszych przyprowadził dziewczynę i zakomunikował stojącym w szatni: „To moja Kropka”. Wysoka, postawna dziewczyna zawstydzila się, zarumienila i zostawila

płaszcz w naszej szatni.

Od kobiet koszykarzy nie żądaliśmy pieniędzy. Ale jakże często dawały same, i to więcej niż przepisowe 50 gr. Dawały zwłaszcza mnie. Podobała im się nastolatka w szatni? Nie wiedziały, że mnie podobali się ich faceci... Na pocieszenie zostawały mi pieniądze, których mama nie zabierała. To był mój zarobek.

Wydarzenie, które mocno wpisało się w moją pamięć miało miejsce w mroźny grudniową niedzielę. A zaczęło się wszystko prawdopodobnie w piątek. Zdarzało się wówczas często, że zawodników przed meczem wywożono. Zarówno koszykarzy, jak i piłkarzy. W zależności od sezonu. Tak po prostu wywożono, najczęściej gdzieś blisko, ale miejsce trzymane w tajemnicy. Kiedyś tata mówił coś o Świdnicy albo o Andrzejówce, może padała nazwa Zagórze. Moje pytanie zadawane rodzicom „A po co się ich wywozi?” długo pozostało bez odpowiedzi. Pewnego dnia Tata odpalił na odczepnego: „Żeby im baby nie przeszkadzały”. Jako że byłam wówczas w okresie intensywnego dojrzewania, skojarzenie było natychmiastowe. Od tamtej ojcowskiej odpowiedzi zagadnienie „Czy seks przeszkadza w rozegraniu meczu czy nie” nieustannie mnie nurtuje.

Kiedy jednak w naszej szatni nastawiłam uszy na odbiór, dowiedziałam się, że przyczyna była inna. Sportowcy byli wywożeni oczywiście po to, by maksymalnie skoncentrować się przed meczem. Ale był też inny powód – by nie narażać ich na pokusy w postaci przekupstwa. Zdarzało się bowiem, że „emisariusze” z innych klubów przyjeżdżali tuż przed meczem, kusili, a wszak sportowiec to tylko człowiek. Ot, scenariusz „Piłkarskiego pokera” nie wziął się z powietrza. Wywózka do takiej Andrzejówki miała zminimalizować zakusy i pokusy.

Zatem pewnego piątku wywieziono moich koszykarzy gdzieś blisko. Na godzinę przed meczem autokar dostarczył ich wprost pod drzwi szatni. Weszli z tradycyjnym „Dzień dobry”, rozegrali mecz i ponownie wsiedli w autokar, który ruszył w, powiedzmy, nieznane. W niedzielę replay – podjeżdża autokar, wysiadają koszykarze, wchodzą do szatni. Nieco wolniej niż w sobotę, powitanie też cichsze, bo większość trzyma w rękachświerki, czyli choinki. „Pani Kulesza – zwrócili się do mamy – Możemy zostawić te choinki w szatni?” Mama rozłożyła ręce. Jak przechować wszystkie choinki w takiej szatni? Przecież się pomieszają, jak rozpoznać, która czyja? „Niech się pani nie martwi. Poznamy!” Drużyna z choinkami wkroczyła za szatniarską ladę, ustawiła i położyła świerki według własnego uznania.

Jesteście w stanie wyobrazić sobie szatnię na Teatralnym pachnącą zimą, mrozem, prezentami i zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia? Ja nie muszę uruchamiać wyobraźni. Ja to nadal czuję.

IV

Nasi, czyli moi

„Przecież mieszka parę klatek ode mnie, znam go od ‘zawsze’, czemu nikt mi nie powiedział, że to koszykarz?”

Z koszykarzami naszego Górnika nie miałam wielu kontaktów osobistych. I dobrze. Ci z dawnych lat pozostali w mej pamięci jako sportowi idole, młodszy zaś są dla mnie symbolami klubu i miasta. Podziwiałam wszystkich, ale jest w moim życiorysie kilka postaci szczególnych, niekoniecznie ze względu na postawę z boiska.

Wśród moich chłopaków z lat 70-tych ważną postacią jest Witek Domoradzki. U rywali wzbudzał strach. Często słyszałam jak mówiono z przerażeniem „Uwaga! Domoradzki wchodzi!” Nas to śmieszyło, bo Witek wcale groźny dla otoczenia nie był. Ze Staszkiem Ignaczakiem (patrz rozdział „Mój numer 6”) i Grześkiem Karolewskim byliśmy razem na wczasach w Dziwnowie. To znaczy oni byli sami i podrywali brunetkę, a ja z tatą i bratem i nikt mnie nie podrywał, bo miałam 12 lat. W sumie nie wiedziałam wiele o życiu prywatnym naszych sportowców, z wyjątkami.

Pierwszy był... moim sąsiadem z podwórka. Kiedy słynnego 3 lutego 1971 roku ujrzałam go na boisku w barwach pierwszoligowego Górnika, zatkało mnie. Przecież mieszka parę klatek ode mnie, znam go od „zawsze”, czemu nikt mi nie powiedział, że to koszykarz? I do tego wyjątkowy. Nie wychodził w pierwszej piątce, ale jak już pojawił się na boisku to doskonale robił swoje, czyli rzucał. Kiedyś taki rzut nazywano „rzutem z dystansu”, dziś jest to z reguły „rzut za trzy”. W czasach, kiedy często grano strefą, takie rzuty były niezwykle cenne. W Górniku ich niekwestionowanym królem był Poldek Podstawczyński, chłopak z Nowego Miasta (patrz rozdział „Rzucający za trzy”).

Kolejny chłopak z Nowego Miasta - symbol Górnika - jest mi już znacznie bliższy. Też znam go „od zawsze”, ale początkowo był to tylko kuzyn koleżanki z podwórka. Mieszkał z braćmi i rodzicami trochę dalej ode mnie, ale wszyscy często odwiedzali swą rodzinę na Ogińskiego. Był starszy od nas, co w latach „nastoletnich” bywa czasami przepaścią, ale nie do tego stopnia, by nie mówić do niego po imieniu. Jego starszy brat zapisał się głośno w mej pamięci. Posiadał motocykl (głośny oczywiście) i woził nas - dzieci - trasą: Ogińskiego, Sygietyńskiego, Karłowicza, Namysłowskiego.... Daleko? Nie, mieszkaliśmy po prostu w „kwadracie” tych ulic.



Lata 70- te, Janusz Krzesiak, Witek Domoradzki, Mieczysław Zenfler, Stanisław Ignaczak, Poldek Podstawczyński

O trenującym w Górniku Zenku Kozłowskim, bo o nim mowa, dowiedziałam się od taty. Słyszał o nim bardzo pochlebne opinie. Jego kariera rozbłysła po moim wyjeździe z Wałbrzycha. Po raz pierwszy w składzie biało-niebieskich pojawił się w sezonie 1974/1975, po raz ostatni – w rozgrywkach 1989/90. Był przez wiele, wiele lat podstawowym zawodnikiem naszej drużyny³. Zawsze mnie poznawał. Do dziś mieszka na Nowym Mieście.

Cóż, Nowe Miasto miało szczęście do koszykarzy. Tu mieszkał również Janusz Krzesiak (patrz rozdział „Janusz Krzesiak”), a na Ogińskiego wychował się Maciej Buczkowski z drużyny mistrza kraju z 1988 r. Kiedy opuściłam Wałbrzych, wszyscy z napisem „Górnik” na koszulkach byli dla mnie symbolami miasta. Niestety, nie wszystkich znałam nawet z widzenia. O jakości zdjęć prasowych już pisałam... W telewizji Górnik też nie było, a podczas jednego czy dwóch meczów w sezonie, kiedy widziałam swoich trudno było zanotować wszystkich w swej pamięci. O kontaktach osobistych nie wspomnę, bo ich po prostu nie było....

Ale kiedyś mnie olśniło... To było w 1981 r. Tradycyjnie zimą, w czasie ferii przyjechałam do Wałbrzycha. Na boisku Kozłowski, Młynarski, Krzykała, Reschke, Żywarski... Fajni ludzie. Szczególnie jeden z nich. Przez dwa mecze nie mogłam oderwać od niego wzroku. Gra na boisku, sposób zachowania podczas przerw, gestykulacja, wzrok... Słowem całokształt, który coś, kogoś mi przypominał... Nie, to niemożliwe, pomyślałam podczas kolejnego meczu, kiedy odkryłam przyczynę przedziwnego zainteresowania koszykarzem. Nie, niemożliwe, przecież on nie jest rodowitym wałbrzyszaninem. A jednak...

Obecny na boisku Tadeusz Reschke przypominał mi mojego Górnik z lat 70-tych. Miałam wrażenie, że właśnie w nim skupiły się wszystkie najlepsze cechy tamtej drużyny. Do domu

³Zenon Kozłowski rozegrał w barwach Górnik 424 spotkania, co jest drugim najlepszym wynikiem w historii klubu

wróciłam będąc pod wrażeniem jego postawy i swoich niezwykłych uczuć – mój Górnik wrócił. Tadek bez problemu wpisałby się w moją drużynę z pierwszej połowy lat 70-tych. Od tamtego momentu baczniej zwracałam uwagę na wiadomości dochodzące z Wałbrzycha. W kolejnych latach Tadek stał się niekwestionowanym liderem zespołu. Wspólnie z Kozłowskim tworzyli duet, którego zazdrościły inne ekipy. Zasmuciło mnie, że Tadek w pewnym momencie Wałbrzych opuścił. Ale jaka była radocha, kiedy wrócił i poprowadził Górnika do drugiego mistrzostwa! To on właśnie zakończył mecz odbijając piłkę przez 10 sekund tuż obok mnie. Wspominając rok 1988 zawsze widzę najpierw pełną skupienia twarz, a potem na niej wybuch radości. Podsumowując sezon w „Przeglądzie Sportowym” Łukasz Jedlewski napisał: „Tadeusz Reschke – dobry duch drużyny mistrza Polski. Należałoby życzyć wszystkim młodym zawodnikom takiego podejścia do sportu”.

W 2006 roku podczas meczu wspomnień Tadek Reschke ponownie został kapitanem Górnika. To świadczy o tym, jak wiele znaczy dla swoich kolegów. Po latach też.

V

Warszawa 74

„Wchodzimy w przejście podziemne. I nagle, wśród zawsze śpieszących się warszawiaków dostrzegamy...”

W 1974 roku opuściłam Wałbrzych. Od tego momentu mój kontakt z Górnikiem przybrał inne formy niż chodzenie w soboty i niedziele na mecze... Każde spotkanie z moimi koszykarzami było wielkim świętem i z reguły odbywało się poza Wałbrzychem. Miastem, w którym Górnik grał często, a które znajduje się najbliżej mnie, jest Warszawa.

Pierwsze spotkanie miało miejsce w grudniu 1974 r. Wymyślono wówczas przedziwny system rozgrywek. Najpierw turnieje (jeden z nich odbył się we wrześniu w Wałbrzychu), potem tradycyjnie ligowo, następnie ponownie turnieje i znowu liga. I oto w grudniu odbył się turniej w Warszawie, którego gospodarzem była Legia. Rozgrywano go w niespotykanym dla koszykówki miejscu – w hali warszawskiej Gwardii.

To jedna z dwóch tzw. Hal Mirowskich wybudowanych na początku XX w. Najpierw były tam koszary, potem kwitł handel. Podczas Powstania Warszawskiego hale zostały spalone. W latach 50-tych odbudowano jedną z nich urządzając halę sportową, w której rozkwitł boks. Potem znowu na parkiecie handlowano, a bokserzy przenieśli się do salki z boku. W czerwcu 2011 r. słynna sekcja bokserska Gwardii, która wychowała m.in. dwukrotnego mistrza olimpijskiego Jerzego Kuleja, wyprowadziła się na ulicę Raclawicką 132. Mój warszawski informator był zdziwiony, kiedy zapytałam go o Hale Mirowskie: „Przecież tam się prano po... powiedzmy buziach, nigdy w żadną piłkę tam nie grano”. Czyżby hala Legii była za mała? „Tak, potwierdzam,

hala Legii mieściła ok. 300 osób. Natomiast hala Gwardii 3 - 4 tys.” – informuje Jacek Łączyński – były koszykarz Legii. Dziś hale mirowskie są wpisane do rejestru zabytków. Zatem Górnik grał w zabytkowej budowli.



Wejściówka na pierwszoligowy turniej z udziałem Górnika

W 1974 roku nie byłam świadoma, iż w tej hali boksowano. Znajdująca się w centrum Warszawy hala stała się dla mnie przede wszystkim miejscem spotkania z ukochanymi idolami. Spotkanie opisałam ... Dziś zerkam w zeszyt w kratkę, patrzę na pożółkłe kartki i przed oczami duszy mojej widzę:

Do stolicy jadę razem z mamą. Nocujemy u cioci na Ochocie. W sobotę przed południem wsiadamy w tramwaj jadący do centrum. Wsiadamy na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej, wchodzimy w przejście podziemne. I nagle, wśród zawsze śpieszących się warszawiaków dostrzegamy... Zenka Kozłowskiego. Chłopak patrzy na nas nie dowierzając własnym oczom. wałbrzyszanki w Warszawie i to w przejściu podziemnym? Na wszelki wypadek kiwa głową i mruczy pod nosem jakieś „Dzień dobry”. Uśmiechamy się do niego. Uwierzył czy nie? Wtedy mijają nas Andrzej Pasiorowski z Resovii. Oddycham. Są znajomi, nie jest źle. Udajemy się do hotelu „Polonia”. Tam mieszka mój Górnik.

Wchodzimy, mama daje znać w recepcji, że już jesteśmy. Po co daje znać? Komu daje znać? Otóż telefonicznie skontaktowała się wcześniej z Górnikiem, powiedziała, że przyjedziemy i dostała obietnicę, iż dostaniemy od naszych darmowy karnet na mecz! Czekamy więc na pana Ruteckiego, który wejściówkę ma znieść i powiedzieć, jak dojść do hali Gwardii. Siadamy w holu w wielkich miękkich fotelach i obserwujemy ludzi co to wchodzi i wychodzi z hotelu. Ruch rzeczywiście jak na Marszałkowskiej i Jerozolimskich. Praktycznie większość to znajome twarze. Nie tylko nasi tu nocują. Dostrzegamy Adama Dąbrowskiego, eks-Górnika, wówczas gracza Startu Lublin. I nagle – Janusz Krzesiak. Wychodzi z windy, zdziwiony patrzy na nas, nieśmiało „Dzień dobry” i odchodzi... Dlaczego odchodzi? Dlaczego nie zatrzymuje się? Nie pogada? Wraca. Z twarzy znika zdziwienie. Wita się z nami. Rozmawia. Nie wierzy, że przyjechałyśmy specjalnie na mecz Górnika. Nie wierzy,

że wierności prawdziwego kibica żadna odległość nie zabije.

W tym miejscu w moim opisie spotkania z Górnikiem znajduje się zdanie: „Potem spotkał mnie super zaszczyt – trener Górnika na przywitaniu pocałował mnie w rękę”. Miałam wówczas prawie 16 lat i nikt mnie jeszcze w rękę nie całował. Poczułam się dorosła. Kto był wówczas trenerem Górnika? Według monografii „60 lat minęło” w sezonie 1974/1975 trenerem naszych był najpierw Jerzy Sterenga, a potem – Zygmunt Biliński. To był ten drugi. Po otrzymaniu wejściówki na mecz idziemy pieszo w kierunku Hal Mirowskich. Bez problemu wchodzimy, siadamy. Z boiska kiwa do nas głową Poldek Podstawczyński i Witek Domoradzki. Poznają. Miód na moje stęsknione wałbrzyskie serce.

Wiem, że już wówczas w Górniku występował Mieczysław Młynarski⁴, ale... pana Młynarskiego, proszę o wybaczenie, nie pamiętam zupełnie. Na boisku był wówczas inny Mieczysław – Zenfler. I to do niego wówczas wzdychałam. Wraz z mamą oglądamy mecz ze Startem Lublin. Górnik przegrywa 66:82. Nieważne. Nieważne, że w sezonie 1974/75 Górnik ponownie spada z I ligi... Ważne, że znowu widzę swoich chłopaków, że grają, że są...

Patrzę dziś na stary zeszyt, stary tekst i łza mi się w oku kręci... Tak jak wówczas, kiedy opuszczałam halę Gwardii i jechałam ponownie nocować do cioci na Ochotę. Mama milczała. Chyba wówczas zrozumiała, że Górnik to w moim życiu bardzo poważna sprawa. I nie wiem do dziś, czy to na moją cześć, czy przez przypadek Wałbrzychowi nadano telefoniczny numer kierunkowy „74”.

VI

Rywale

„Żaden (...) nie miał na głowie korony”

Będzie o tych, którzy przyjeżdżali na „Teatralną” w pierwszej połowie lat 70-tych. Nie o wszystkich, o paru, którzy pozostali w mej pamięci najwyraźniej, nie zawsze z powodu znakomitej gry.

Tamten czas to pamięć o osiągnięciach reprezentacji Polski. Po szalonych latach 60-tych, medalach Mistrzostw Europy i szóstym miejscu na Igrzyskach Olimpijskich w Meksyku, lata 70-te nie były takie obfite w sukcesy. To już „tylko” 10 miejsce na Igrzyskach w Monachium i miejsca w pierwszej dziesiątce Mistrzostw Europy. Ale polska koszykówka nadal była ceniona w Europie, a największe polskie gwiazdy przyjeżdżały do Wałbrzycha. Nie, pomyłka. To nie były gwiazdy w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Gwiazdami byli wówczas piłkarze, a koszykarze byli tacy normalni... Widać to było w naszej szatni na „Teatralnej”.

⁴Młynarski miał wtedy ledwie 18 lat. Dziś to legenda Górnika, najlepszy punktujący klubu w dziejach, czterokrotny król strzelców ówczesnej I ligi (ekstraklasy), dwukrotny Mistrzostw Europy, trzeci wśród punktujących na Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie. W 1982 zdobył z Górnikiem mistrzostwo Polski – przyp. red.

Młodszym czytelnikom wyjaśniam, iż wówczas był tylko jeden program w telewizji i meczów koszykówki w niej praktycznie nie było. Jedyne ilustrowany sportowy tygodnik „Sportowiec” był też praktycznie nie do zdobycia. A nieliczne czarno-białe zdjęcia w pozostałej prasie sportowej nie sprawiały, iż przedstawiona na nich postać łatwa była do rozpoznania. Trzeba zatem było czekać, kiedy sportowcy pojawią się osobiście, żeby po prostu zobaczyć, jak wyglądają.

Rywale wchodzili zawsze grupą i szybko przemierzali drogę do szatni zawodników. Z reguły nie zwracali uwagi na stojących przy wejściu „porządkowych”, a tym bardziej na stojące w szatni kibiców osoby płci żeńskiej: na mnie i moją mamę. Za to my wypatrywałyśmy najlepszych. Nie zawsze się udawało. Najlepsi w płaszczu lub zimowej kurtce nie wyróżniali się niczym szczególnym. Pamiętam, jak z niecierpliwością oczekiwałam na wkroczenie do hali ekipy Wybrzeża Gdańsk z Edwardem Jurkiewiczem (4114 punkty w reprezentacji Polski w latach 1968-1977). Wydawało mi się, że król strzelców będzie jakiś wyjątkowy. Nic z tego. Gdy Wybrzeże weszło, wyteżyłam wzrok. Żaden z gdańszczan nie miał na głowie korony. Dopiero podczas prezentacji drużyn przyjrzałam się najlepszemu w Polsce. Ówczesne wrażenia? Pamiętam do dziś – „normalny facet, nawet nie taki przystojny jak nasz Mieciuchna” (Zenfler). Dlaczego uznałam, że reprezentant kraju powinien być przystojny? Nie wiem.

Pierwszym z najlepszych, któremu przyjrzałam się dokładnie był Mieczysław Łopatka. Nazwisko znałam wcześniej, zapewne z wiadomości sportowych, które w naszym domu należały do wiadomości obowiązkowych, obojętnie czy były telewizyjne czy radiowe. Przynależności klubowej Łopatki nie znałam. Kiedy nastąpił „mój pierwszy raz” czyli 3 lutego 1971 r. podczas towarzyskiego meczu Górnika ze Śląskiem, połączyłam nazwisko z konkretnym człowiekiem.

W mej pamięci utkwiał również Andrzej Pasiorowski, reprezentujący Resovię Rzeszów. Ten to był wielki – 203 cm, jak podają internetowe źródła – i potężny. Przy wejściu od razu rzucił się w oczy, do tego szedł wolnym krokiem i uśmiechał się, mam wrażenie, że sam do siebie. Podczas meczu stał w pobliżu „trumny”⁵, koledzy podawali mu piłkę, on raczej podchodził niż podbiegał i lekko wrzucał ją do kosza. Wsadów nie robił. Czy w ogóle ktoś w tamtych czasach robił wsady?

Wśród wkraczających do hali rywali naszego Górnika były dwa przypadki szczególne. Pierwsza z nich to Wisła Kraków. Wchodzą takie krakusy, idą i nagle jeden z nich, niewysoki, jakieś 180 cm, nie więcej, odwraca twarz w moją stronę i mojej mamy, po czym mówi: „Dzień dobry”. Stoimy jak wryte. Po raz pierwszy rywal mówi nam „Dzień dobry”. Kto to jest? Jakiś były „nasz”? „To chyba Seweryn” – ktoś nas informuje. Ten Seweryn? Ten najlepszy rozgrywający w Polsce? Niemożliwe. A jednak. Podczas prezentacji drużyn okazuje się, że to on. Zrywam się z ławki i biegnę do mamy. Potwierdzam. O proszę, zwykły gest, zwykłe słowa, a jak facet zaprocentował! A to jeszcze nie koniec.

Nasza szatniarska ekipa była ostatnią, która opuszczała halę. Czekaliśmy zawsze na drużynę

5. „Trumna” to potoczne określenie obszaru ograniczonego pod koszem (tzw. pola trzech sekund). Nazwa wzięła się z charakterystycznego obrysu tego pola, przypominającego trumnę. Charakterystyczny obrys funkcjonował na światowych parkietach koszykarskich (z pominięciem ligi NBA i uniwersyteckiej NCAA) w latach 1956-2010 – przyp. red.

gości. Kiedy ta wyszła, zamykaliśmy wejścia od strony szatni i wychodziliśmy drzwiami od strony teatru. Tak też było po meczu z Wisłą. Krakusy zaczęli powoli wychodzić. Andrzej Seweryn ponownie spojrzął na nas i najnormalniejszym głosem powiedział „Do widzenia”. Wielokrotnie wspominałyśmy z mamą tamto wydarzenie. Dlaczego było takie szczególne? Owe „Dzień dobry” i „Do widzenia” słyszałyśmy tylko od naszych. Przez cztery lata nikt z przyjezdnych nie zwrócił się z nimi bezpośrednio do nas. No z jednym wyjątkiem. Ale o tym za chwilę.

Andrzeja Seweryna spotkałam w Wałbrzychu w 1986 roku. Był wówczas trenerem Wisły. Zaczepiłam, pogadałam przez chwilę. Było ponownie przyjemnie. Dzięki temu stałam się właścicielką pocztówki z autografami ówczesnej krakowskiej ekipy. Natomiast pewnego sobotniego wieczoru na „Teatralną” wkroczyła niezwykła ekipa. Wszyscy i uśmiechnięci, i dzień dobry na przywitanie, i podanie ręki „porządkowym” i skinienie głową w stronę mamy. Czuli się jak u siebie w domu. To była Lublinianka Lublin. To od tej ekipy dostałam proporzycyk, niezwykle autografy i dwie pocztówki. Dlaczego? W jakim celu? Nie wiem. Pamiątki po szalonej drużynie pozostały.



Nieoczekiwany prezent od Lublinianki Lublin

Nigdy natomiast przez główne drzwi nie wchodzili i nie wychodzili sędziowie. Przemykali chyłkiem od strony teatru. No cóż, w Wałbrzychu nie tylko obcym grało się trudno. Praca sędziego też do najłatwiejszych nie należała. I tu się nadal nic nie zmieniło!

VII

Mistrzowie drugiego planu

„Każdemu kandydatowi na koszykarza trzeba wykonać tylko dwa podstawowe badania. Krwi i ... kału. Trzeba się przekonać, czy ów ma koszykówkę we krwi czy w du...”

W starych artykułach prasowych, będących sprawozdaniami z meczów, uderza mnie zawsze pewna prawidłowość – brak nie tylko wypowiedzi trenerów drużyn, ale w ogóle nazwisk trenerów. Sama też walę się w piersi, bo bardzo długo na trenerów nie zwracałam uwagi. Starsi panowie, co to czasami mówią naszym idolom jak grać... Na szczęście to uległo zmianie i dziś trener jest na równych prawach z zawodnikami. Zabrzmiało ironicznie, no nie? Ale dola trenera się nie zmieniła. Jeśli zespół wygrywa, to wszystko gra. A jeśli jest „kicha”, winien zawsze jest trener i tego się z reguły zwalnia. „Bo zawsze łatwiej zwolnić jednego trenera niż 11 lub 5 lub 6 lub...w zależności od dyscypliny” – mówi zawsze mój syn, kiedy ktoś gdzieś zwalnia kolejnego trenera. Zatem dzisiaj o trenerach – prawdziwych mistrzach drugiego planu. Nie o wszystkich, ale o dwóch.

Wróćmy ponownie do mojego syna. Któregoś dnia, po powrocie z rozgrywek Miejskiej Ligi Koszykówki w Łomży, opowiedział mi anegdotę, którą usłyszał w szatni: „ Na pewnej uczelni wyższej zajęcia z koszykówki prowadziło dwóch znanych i szanowanych szkoleniowców. Pierwszy podczas wykładu skupił się na badaniach medycznych mających określić, czy dany osobnik nadaje się na koszykarza, czy nie. Morfologia, prześwietlenia, USG, EKG i tym podobne miały służyć sprawdzeniu predyspozycji. Studenci notowali. Potem przyszedł kolejny trener. Oczywiście zaczął od medycyny. Oznajmił, iż każdemu kandydatowi na koszykarza trzeba wykonać tylko dwa podstawowe badania. Krwi i ... kału. Trzeba się przekonać, czy ów ma koszykówkę we krwi czy w du... Kim był trener, którego byli studenci wspominali grając w amatorskiej lidze? Syn kazał mi zgadywać. Nie trafiłam. A to przecież taka wałbrzyska zagadka. Oczywiście chodziło o Teodora Mołłowa.

Nigdy nie poznałam go osobiście. Pełen temperamentu Bułgar stał się jedną z kultowych postaci naszego Górnika. Znakomicie wpisał się swym charakterem i postawą w wałbrzyski klimat. Najpierw był asystentem Jana Lewandowskiego, w sezonie 1991/92 został pierwszym trenerem. Podczas meczu biegał przy linii bocznej boiska, coraz lepszą polszczyznę udzielał wskazówek. I były momenty podczas meczu, że kibice zamiast na boisko patrzyli na trenera. Oj, mieli kłopoty z trenerem Mołłowem sędziowie, oj mieli.

On sam bardzo dobrze wspomina wałbrzyskie czasy: „To było wspaniałe dziesięć lat, bo tyle pracowałem z tym klubem. Mam jak najlepsze wspomnienia z tego okresu, gdyż wtedy była wspaniała publiczność, kierownictwo klubu, no i zawodnicy z charakterem. To jest taki okres mojego życia, który jak najmilej wspominam.” – powiedział w wywiadzie udzielonym portalowi polskikosz.pl. W 2006 roku wraz z Janem Lewandowskim poprowadził drużynę Górnika w Meczu

Wspomnień⁶.

Dzięki swym studentom, Mołłow zaistniał w Łomży. Anegdotę o badaniach lekarskich, dziś często cytowaną w różnego rodzaju sytuacjach, powtarzano dość długo w kuluarach łomżyńskiej koszykarskiej ligi. Ale to nie koniec. Prowadząc drugoligowy zespół PWIK Piaseczno, Bułgar trenował innego łomżanina – Damiana Zaperta.

W wywiadzie udzielonym „Kurierowi Południowemu” Damian powiedział: „Prawda jest taka, że to on (Mołłow) jest magnesem przyciągającym zawodników i to on zbudował tu prawdziwy zespół. To dla nas nie tylko autorytet, od którego wiele można się nauczyć, ale też przyjaciel, z którym o wszystkim można porozmawiać. Ktoś może go nie lubić, komuś może nie podobać się jego ekspresyjne zachowanie w czasie meczów, które akurat nam pomaga, ale nikt nie zarzuci mu, że nie zna się na tym sporcie i nie osiąga w nim sukcesów. Dla mnie to fanatyk koszykówki, mistrz motywacji i urodzony zwycięzca. Z kimś takim aż chce mi się pracować i nie wyobrażam sobie, żeby na jego miejscu był ktoś inny”.



Autorka wspomnień z trenerem Mołłowem podczas meczu Górnika z Polonią Warszawa – grudzień 2022

Drugim trenerem, o którym zapomniano, a o którym pamiętać musimy, jest Józef Jasiński – trener juniorów, który ze swymi wychowankami dwukrotnie sięgnął po tytuł Mistrza Polski w piłce nożnej. Pierwszy raz – w 1968, drugi – w 1973. Wówczas obejrzałam wszystkie mecze finałowego turnieju. Rozgrywano go w Wałbrzychu, na Nowym Mieście.

Ale nie dlatego pamiętam trenera Jasińskiego. Podziwiała go moja mama. To ona zauważyła, że po meczu, niezależnie od wyniku, trener podawał rękę każdemu ze swych chłopców dziękując w ten sposób za grę. Traktował ich z szacunkiem. Przeżył też ze swoimi wychowankami tragiczną sytuację.

⁶W listopadzie 2015 roku Mołłow zaliczył pamiętny powrót do Wałbrzycha. Prowadzona przez niego reprezentacja Polski kobiet pokonała w Aqua Zdroju w el. ME faworyzowaną Białoruś 65:56. Ekipa biało-czerwonych w nieprawdopodobny sposób odwróciła losy meczu, wygrywając czwartą kwartę 19:1! Po meczu charyzmatyczny Mołłow przeskoczył barierki i świętował zwycięstwo na trybunach, w uściskach wałbrzyskich kibiców

Zdarzało się mojej rodzinie jeździć z drużyną juniorów na mecze do Kłodzka. Dom mojej babci znajdował się tuż przy „wylotówce” na Wałbrzych. Autokar zatrzymywał się, wysiadaliśmy i po meczu wsiadaliśmy ponownie. Dwudziestego pierwszego listopada 1971 r., w niedzielę, ruszyliśmy. Jak zwykle wałbrzyski PKS „podstawił” nam super pojazd: praktycznie nowy, wycieczkowy, a więc o podwyższonym standardzie, jeszcze niedotarty „ogórek”, oczywiście marki Jelcz. Nie dojechaliśmy na miejsce. W Głuszycy Górnej w tył autokaru uderzył samochód ciężarowy.

Szcześnie w nieszczęściu.

W autokarze nie działało poprawnie ogrzewanie. Grzało tylko na przodzie. Większość zawodników i moja rodzina siedziała blisko kierowcy. W tyle pozostało dwóch piłkarzy: Lesław Jastrzębski i Jurek Nowak.

Z tamtej sytuacji pamiętam tylko widok stodoły przed sobą i potężny huk za sobą. Potem pojawiła się nade mną mama. Sprawdziła, czy nic mi się nie stało. Kazała szybko wyjść z autokaru. Sama wraz z tatą, trenerem Jasińskim i chyba jeszcze innym panem (Obuchowskim?) zajęli się najbardziej poszkodowanymi. W swoim dzienniku z tamtych lat zapisałam: *„Jurek miał całą twarz we krwi. Usłyszałam jego wołanie „Ojej!”. Leszek trzymał się za żebra, ale myślałam, że to nic poważnego. Mama podbiegła do Jurka. Przyłożyła mu coś do głowy, by nie krwawił. Potem zajęto się Leszkiem. Oto co usłyszałam od chłopaków: Rysiek (dostał szoku) – Gdy to się zaczęło, pchnąłem Tadka i zacząłem uciekać. Jurek - Czytałem gazetę, a potem już nic nie pamiętam. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Dopiero potem zobaczyłem krew i poczułem ból - Przyjechało pogotowie, zabrało Leszka, Jurka i Ryśka.”*

Na Jurka spadała szyba. Nim zajęto się prędeż. Tymczasem większych obrażeń doznał jego kolega. Przez długi czas chodził w gipsowym gorsecie. Jurkowi ogołono głowę i założono opatrunek. Przyszli kiedyś obaj na mecz koszykówki. Jurek w czapce, Leszek w gipsowym „garniturze”. Autobus nadawał się do kasacji...

Różne sytuacje zdarzały się w moim życiu w związku z Górnikiem. Tak jak w różnych sytuacjach są trenerzy wraz ze swymi zawodnikami...

VIII

Warszawa 89

„Górnik grał mecz z Legią. Pociąg z Warszawy do Wałbrzycha miałam o 22.08... Postanowiłam spróbować inaczej dostać się do mego miasta...”

Kiedy w gronie biało-niebieskich powiedziałam, że następny mój felieton będzie o Legii, usłyszałam głośnie: „Tylko nie Łazienkowska!”. W porządku, nie Łazienkowska. Będzie 29 Listopada, bo przy ulicy o takiej nazwie znajdowała się hala, w której grali stołeczni koszykarze.

A było to tak:

Korzystając z ostatnich miesięcy urlopu wychowawczego i dobrodziejstwa mojej mamy, ruszyłam do Wałbrzycha. Z której strony nie patrząc, najkrótsza droga do rodzinnego miasta zawsze wiedzie przez Warszawę. Zimą 1989 roku wpadłam na iście szatański pomysł... W tym czasie Górnik grał mecz z Legią. Pociąg z Warszawy do Wałbrzycha miałam o 22.08... Postanowiłam spróbować inaczej dostać się do mego miasta...

Z PKS-u wysiadłam na Pradze. Dalej autobusy z Łomży nie jechały. Na ulicy Targowej zaczepiłam dwóch, wówczas, prawie rówieśników:

- Jesteście kibicami Legii? – zapytałam mrugając rzęsami.

- Tak!

- To jak dojechać na 29 Listopada, do hali Legii?

Kibice zupełnie nie kojarzyli hali z listopadem. Dziś już nie pamiętam, kto wskazał mi drogę i kazał jechać ...w kierunku Łazienek. Tam jest jakiegoś któregoś Listopada. Jakoś dojechałam, jakoś znalazłam wejście. Z bocznej kieszeni spodni wyjęłam ważny dokument, pokazałam strzegącym wejścia i pewnym krokiem wkroczyłam do... bardziej szkolnej sali gimnastycznej niż stołecznej hali sportowej.

Czym był ów dokument? Był to najwspanialszy dowód pod słońcem - legitymacja prasowa, otwierająca przed mną wszystkie drzwi. Najważniejsza była zawarta w niej informacja: „Wszystkie władze proszone są o udzielenie okazicielowi niniejszej legitymacji pomocy w wypełnianiu obowiązków służbowych”. Byłam wtedy felietonistką łomżyńskiego tygodnika „Kontakty”. Wykorzystywałam ten fakt przez wiele lat, wchodząc na wiele imprez, do wielu instytucji. Wszak nigdy nie było wiadomo, czy nie znajdę materiału do kolejnego felietonu...

Pobył w Warszawie w 1989 roku też zaowocował felietonem pt.: „Kobieta z prowincji”. Bez problemu odnalazłam stolik z napisem „Prasa”. Usiadłam. Dosiadali się do mnie inni dziennikarze. Najpierw patrzyli, potem pytali. Wyjaśniłam, że jestem wałbrzyszką, ale mieszkam w Łomży, w której to jest wielu wałbrzyszan i są ciekawi meczu Górnika w Warszawie. Zresztą tak w ogóle to jadę do Wałbrzycha, bo to będzie materiał na reportaż...

Dobry bajer nie jest zły. Chyba stołeczna prasa trochę uwierzyła, bo nie wywalono mnie na

zbity pysk. Wtedy właśnie spotkałam się oko w oko z ówczesnym naczelnym „Przeglądu Sportowego” Łukaszem Jedlewskim.

A potem na rozgrzewkę wyszli nasi! Anacko, Kielbik, Buczkowski, Wieczorek, Żywarski, trener Jan Lewandowski i kierownik drużyny Leon Klonowski. Do niego właśnie podeszłam. Przypomniałam się: „Grażyna Kulesza”. Poznał. Uśmiechnął się. Wtedy zapytałam, czy nie ma w autokarze wolnego miejsca, bo jadę do Wałbrzycha i chętnie bym się razem z Górnikiem zabrała.

- Oczywiście. Nie ma żadnego problemu - oznajmił kierownik. Rety, udało się! Będę jechała do Wałbrzycha razem z Górnikiem! Szczęśliwa, że dojazd mam zapewniony, obejrzałam mecz. Przegraliśmy 82:88, ale potem dwa mecze w Wałbrzychu wygraliśmy 83:79 oraz 92:85 i awansowaliśmy do drugiej rundy play-off.

Ze stolicy wyjeżdżaliśmy około dwudziestej drugiej w kiepskich humorach. Zawodnicy zajęli tył autobusu, próbowali zasnąć. Nikomu gadać się nie chciało. Ot, parę słów na temat mego nieżyjącego taty, co porabia moja mama... Po drodze jeden przystanek, może dwa.

Jedziemy, szosa w miarę sucha, śniegu niewiele. Samochodów prawie wcale. Kierowca nie zdejmuje nogi z gazu. Śpieszymy się do domu. Wjeżdżamy na teren Dolnego Śląska. I nieoczekiwanie, na pustej szosie zatrzymuje nas... „drogówka”. Kierowca wyciąga dokumenty i udaje się do stojącego na poboczu radiowozu. Trwają nerwowe rozmowy trenera i kierownika:

„Będzie mandat, to się wspólnie zapłaci. W końcu kazaliśmy mu jechać szybko”. Ale nie taka milicja straszna jak ją w historii malują. Kierowca wraca, otwiera drzwi od strony pasażerów: „Szefie, ma pan jakiś proporczyk? Trzeba dać i będzie w porządku”. Leon Klonowski wyjmuje wielki proporczyk Górnika. Rety, takiego jeszcze nie widziałam. Jakże blade wyglądają moje wobec tego wspaniałego giganta z białymi frędzlami! Westchnęłam głęboko. (Po latach podobny zawisł na ścianie mego mieszkania!)

Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, kierowca zdał relację z rozmowy z „drogówką”, w wyniku której darowano nam karę za przekroczenie prędkości:

„Powiedziałem im, że wiozę koszykarzy Górnika z Warszawy, że Legia nas ograła, jest smutno i chcemy jak najszybciej do domu. Dobrze, że trafiliśmy na kibiców. Za proporczyk puścili nas wolno. Aha, powiedzieli, żeby zwolnić, bo szron osiada na szosie i robi się ślisko”. Wszyscy odetchnęli głęboko. „A tak w ogóle zamiast jechać pod remizę i pilnować tam porządku, to stają na szosie i łapią...” - kto wypowiedział te słowa, nie pamiętam. Akurat wtedy mijaliśmy jakąś wieś z zabawą w jakiejś remizie.

Do Wałbrzycha dojechaliśmy szczęśliwie ok. czwartej nad ranem. Chyba jechaliśmy przez Strzegom i bodajże jakiś zawodnik tam wysiadał. Nie pamiętam, drzemałam. Swym przyjazdem zaskoczyłam stryja. Zaspany, otworzył drzwi.

- Miałaś przyjechać jutro?

- Już jest jutro. Przyjechałam z Górnikiem. Przegraliśmy.

Stryj westchnął i kazał kłaść się spać, bo dla niego to jeszcze nie było jutro. Przejazd z

Górnikiem był dla mnie wielką przygodą i wyróżnieniem. Opowiadałam o nim jeszcze długo, długo. A znajomości zawarte, dzięki Górnikowi oczywiście, przy stoliku dziennikarskim w Warszawie zaowocowały... Ale to już temat na inny tekst.

IX

Stadion

*„Tu trenują również zawodnicy innych sekcji, a Górnik ma ich siedem. Czy szachiści też dźwigają?
To przedmiot naszych żartów”.*

Zapraszam Was na wyprawę w czasie.

Weźcie w dłoń zimne piwko, zamknijcie oczy, westchnijcie mocno.



Makieta stadionu na Nowym Mieście

Oto wielki stadion z zieloną murawą i czarną bieżnią. Z jednej strony brakuje trybun, z drugiej - są betonowe słupki. Pośrodku – betonowa konstrukcja, tu kilka drzew, tam ubita ziemia i wielkie schody. Przyszłość? Teraźniejszość? Nie, to przeszłość – lata 60-te na stadionie naszego Górnika na Nowym Mieście. Właśnie trwa jego remont. Wiemy jak będzie wyglądał. W siedzibie klubu przy Al. Wyzwolenia znajduje się makieta. Tu będą betonowe trybuny, a pod nimi szatnie i magazyny ze sprzętem. Tutaj stanie nowoczesny zegar, który będzie wskazywał czas i wynik meczu. Zegar będzie miał jednak wadę. Cyfry wskazujące wynik będą pojedyncze. A co będzie jeśli nasi wygrają 10:1? Zegar pokaże 0:1!



Stadion na Nowym Mieście. Orkiestra górnicza, 1969 rok

Jeszcze wysoko umieszczone pomieszczenia dla spikera i dziennikarzy. Ale stamtąd widok! Na trybunach oczywiście tylko i wyłącznie miejsca siedzące. Wszędzie ławeczki, w różnych kolorach. Koszykarze Górnika przychodzący na mecze piłkarzy usiądą na zielonych. Będę siadała w ich pobliżu. Jeszcze w 1969 roku stadion był placem budowy. Powstawały rzutnie do kuli, skocznie wżwyż i w dal, rów z wodą do biegu z przeszkodami. Na górnym boisku - miejsce do rzutu młotem i dyskiem. Bo Górnik to również lekkoatletyka.

Około szesnastej dnia powszedniego stadion ożywa. Wypełniają go lekkoatleci. Od 1972 jestem w tym gronie. Najpierw rozgrzewka w Parku Sobieskiego. Kilka pętli wokół. Jeśli biegniemy dużą pętlą – niżej – okrążeń mniej, jeśli mniejszą – wyżej – więcej. Bilans musi się wyrównać. Czasami oszukujemy. Wbiegamy szybko na stadion, trener przygląda się nam bacznie. Wie. Daje nam wycisk. Miotacze biorą kule i dyski, skoczkowie idą na skocznie, biegacze zostają na bieżni. Dziwne, rzadko kiedy są tu wtedy piłkarze. Jestem w grupie miotaczy. Pcham tę kulę i pcham. Technikę mam do bani. Ale pcham dalej. A na koniec treningu relaks – wieloskoki po olbrzymich schodach na górę, ot tak z dwadzieścia razy lub 20 x 100 m z przyśpieszeniem po 60-tym. Jakże cudownie smakuje herbata przygotowana przez gospodarza stadionu, pana Redo! Wyrrywamy sobie metalowe kubki, zdajemy sprzęt. Teraz prysznic. W moim mieszkaniu na Nowym Mieście nie ma łazienki. Nie tylko u mnie. Prysznic na stadionie jest równocześnie kąpielą. Jeszcze kilka plotek, kto z kim i dlaczego i - w oparach gorącej wody spod prysznic - pierwszy papieros. Trener przecież do babskiej szatni nie wejdzie.



Piłkarski Górnik w 1969

Dziś już nie ma ani trybun ani szatni, w których zawodnicy przygotowywali się do treningów i zawodów, w której plotkowałam i brałam prysznic... Po trawie wyrosłej na ich miejscu biegał mój pies, a ja ze łzą w oku wspominałam potęgę stadionu. Zerkałam na budynek po siłowni, w której znajdował się trzeci w Polsce „Gladiator”:

„To uniwersalne urządzenie treningowe odwzorowane dokładnie z działającego w warszawskim Ośrodku Przygotowań Olimpijskich, a zakupionego za spory pakiet dolarów. Z tą różnicą, że wałbrzyski ‘Gladiator’ powstał z materiału złomowego na kopalni ‘Wałbrzych’ i praktycznie nie kosztował nic albo bardzo niewiele. Ojcem tej ‘piekielnej maszyny’ jest dyskobol Zygmunt Bogusz, który najpierw skopiował warszawski odpowiednik, a następnie nadzorował jego budowę (...) Nasz (...) jest nieco lepszy od oryginału, gdyż dostosowano go do pracy z większymi obciążeniami.”

To fragment z „Trybuny Wałbrzyskiej”. Daty przy tym artykule nie zapisałam. Dziś chyba nikt nie pamięta, że „Atlas” najpierw nazywał się „Gladiator”. Ten ze złomu ponownie trafił na złom...

W siłowni trenujemy głównie zimą. Doskonalimy technikę rzutów, dźwigamy sztangi. Tu trenują również zawodnicy innych sekcji, a Górnik ma ich siedem. Czy szachiści też dźwigają? To przedmiot naszych żartów. Zawsze czekamy do niedzieli. Najlepsi jadą na zawody. Pozostali są kibicami. Na stadionie odbywają się zawody lekkoatletyczne.

W 1973 roku - Mistrzostwa Polski Juniorów Starszych. Przyjeżdża 615 zawodników i zawodniczek ze 107 klubów. Przez trzy dni walczą o medale na naszym stadionie. Pasjonujemy się skokami. Na treningach też zerkamy w stronę Eli Pawińskiej, Hanki Kuraś, Grzeška Banaszka i Leszka Seweryna. A w niedzielę oczywiście mecz. Ludzie schodzą się z całego Wałbrzycha, o nie, sorry. Na Placu Grunwaldzkim jest granica. Tak jak przed wojną. Dalej jest Biały Kamień (przed wojną nie należał do Wałbrzycha) - teren Zagłębia. Zaraz, a komu kibicował Sobięcín? Stary Zdrój

jest podzielony. Jeden mój wujek kibicuje Górnikowi, drugi – Zagłębiu.

W niedzielę przed stadionem stoją kobiety z palonym na patelni słonecznikiem. Rozgryzanie pestek pomaga w uspokojeniu nerwów. Czasami na mecz przychodzi 15 tysięcy, czasami tylko kilka. Derby Wałbrzycha to stan podwyższonego ryzyka. Mama trzyma mnie wówczas w zamknięciu. Ale inne mecze są bezpieczne. Chodzę na nie sama. A po meczu, kiedy wszyscy kibice opuszczają już trybuny, między ławkami chodzą ludzie z siatkami i torbami. Zbierają butelki po winie, piwie, rzadziej trafiają się po wódce. Kibic zawsze lubił coś na meczu wypić.

Czas obudzić się, odstawić piwko i spojrzeć w teraźniejszość.

Zawsze, kiedy jestem w Wałbrzychu zaglądam na stadion i... spływają na mnie wszystkie smutki tego świata...

X

Rodzice

„Samo urodzenie się w szpitalu na Paderewskiego wydaje mi się niewystarczające do wytłumaczenia, dlaczego Górnik jest miłością mego życia”

Nigdy nie miałam odwagi, by zapytać rodziców, czy nie poczęto mnie na stadionie na Nowym Mieście lub w jego okolicach. Samo urodzenie się w szpitalu na Paderewskiego wydaje mi się niewystarczające do wytłumaczenia, dlaczego Górnik jest miłością mego życia. Podczas jednego z pobytów w Wałbrzychu zapytałam ciocię, czy wie skąd w naszej rodzinie „wziął się” Górnik. Nie potrafiła odpowiedzieć. Był, po prostu. Od zawsze.

Soboty i niedziele w moim dzieciństwie wyglądały tak samo. Mecze koszykówki rozgrywane były o 17.00 lub 18.00. Zatem czekałam na nie cały dzień. Potem spacer na Plac Teatralny, praca mamy w szatni, taty przy wejściu. I powrót, oczywiście pieszo, na Nowe Miasto. Wracaliśmy ulicą Świerczewskiego (obecnie Piłsudskiego). Cel był jeden - Cukiernia Orzechowskiego. Kto stary i z Nowego Miasta ten wie. Mama wyciągała blaszane pudełko, w którym był utarg z szatni: dwudziesto, pięćdziesięciogroszówki, złotówki, dwa złote, pięć to już był wyjątek. Kupowaliśmy osiem ciastek, po dwa na głowę. Mama płaciła bilonem. To była nasza koszykarska kolacja. A po niej – liczenie pieniędzy. Wysypywaliśmy je na stół, układaliśmy, rolowaliśmy i opisywaliśmy. W poniedziałek bilon mama zanosila do sklepu i wymieniała na „grubsze”.



Mama Czesława w szatni w „Teatralnej” (1972 rok)

Mecze piłki nożnej też miały w moim domu swój rytuał. Rozpocynały się o różnej porze dnia, w zależności od pory roku. Najczęściej były w niedzielę. Już w sobotę tato brał schowany przed dziećmi arkusz papieru kancelaryjnego, składał go na pół. Do środka wkładał kalkę i tworzył „Listę obstawy na mecz Górnik Wałbrzych - w dniu.....”. Przez długi czas odpowiadał za porządek na stadionie. „Obstawa” była to grupa ludzi, która pilnowała owego porządku. Nie, nie, żadna ochrona, żadna policja. Po prostu faceci, którzy chcieli trochę zarobić. Stali w różnych punktach stadionu strzegąc głównie, by nikt nie przeskoczył płotu w celu obejrzenia meczu za darmo; by nikt w trakcie jego trwania nie wszedł na bieżnię; stała również przy wejściach i sprawdzała bilety. „Obstawa” miała na rękach specjalne opaski i wyobraźcie sobie, nikt nie śmiał takiej „obstawie” podskoczyć. Milicja oczywiście też była. Jeden pojazd, marki nie pamiętam, który był na wyposażeniu komisariatu numer 2 z ulicy Kunickiego. Czasami nawet tego nie było, bo milicja miała inne zadanie do wykonania.

Tak więc tata szykował listę, według której obstawiał stadion, a po meczu na jej podstawie wypłacał pieniądze. Mama natomiast szła do sąsiada z podwórka pana Stefana Molki, ówczesnego skarbnika klubowego, brała bilety do sprzedaży. Zaczęła się tym zajmować dopiero wówczas kiedy wraz z bratem dorosiliśmy do wieku, w którym mogliśmy sami iść na stadion lub zostać w domu. Ja miałam ok. 11 lat, brat - 8.

W niedzielę pierwszy na stadion ruszał tata, potem mama, ja na końcu, kilka minut przed rozpoczęciem meczu. Z bratem bywało różnie. Najczęściej wchodziłam wejściem od strony szpitala. Podchodziłam do pana z „obstawy”. Jeśli nie znałam go, mówiłam: „Ja do pana Kuleszy”. Tak polubiłam wejścia za darmo, że stosowałam podobną zasadę na meczach Zagłębia. Tak, chodziłam na „Toreziaków”, za moich czasów to oni byli w I lidze. Szłam pieszo z Ogińskiego, przez Stary Zdrój, jakimś skrótem trafiałam na Ludową. Oczywiście dostawałam od rodziców pieniądze na bilet, ale nigdy biletu nie kupiłam. Kilka metrów przed wejściem szybko podbiegałam do tamtejszej „obstawy” i prawie ze łzami w oczach wyjaśniałam, że tam właśnie poszedł mój tata,

miał bilet, ja się zawieruszyłam i teraz będzie na mnie krzyczał. Któż nie uległby prośbie dziecka i to w dodatku dziewczynki? Kiedy nieco dorosłam, było gorzej. Ale jakiś sposób zawsze się znalazł. Kiedyś weszłam na Zagłębie wraz z kibicami Śląska Wrocław, przesiedziałam z nimi cały mecz dokładnie w miejscu, gdzie później był „młyn”... Górnika (haha!)

Ale wracajmy na Nowe Miasto. „Obstawa” i kasy pracowały przez pierwszą połowę meczu. Potem wejścia otwierano. Panowie z opaskami opuszczali swoje stanowiska i oglądali spokojnie mecz, a wszystkie kasjerki udawały się ponownie do pana Stefana, by rozliczyć się z biletów i odebrać należność za pracę w kasie. Mama zostawiała pieniądze skarbnikowi, ten zaś część z nich przekazywał memu tacie, by zapłacił „obstawie”. Klasyczny obieg gotówki.

Kto był w „obstawie”? Oczywiście, że ludzie, których tata znał. Kto sprzedawał bilety? Oczywiście, że żony działaczy. Castingów i przetargów na świadczenie usług nikt nie robił. Swoje doświadczenia rodzice z powodzeniem wykorzystywali w Łomży. Tata dwa razy zorganizował obóz dla sportowców z Łomży właśnie na terenie Nowego Miasta. Kilka razy zajeżdżał „Nyską” do łomżyńskiego browaru (wtedy rzeczywiście małego i wyśmienitego), brał kilka skrzynek piwa i jechał do Wałbrzycha po piłki. Unikalne i praktycznie nie do zdobycia produkty wałbrzyskiego Polsportu toczyły się po łomżyńskim stadionie. Mama zaś była kasjerką na meczach III-ligowego ŁKS-u Łomża. Jedyłą kasjerką.

Były jeszcze inne chwile warte wspomnienia. Mój tato przez pewien czas był w poczcie sztandarowym naszego klubu. Mam kilka zdjęć. Na jednym tata obok Stanisława Grędzińskiego, na drugim – pan Molka i Leon Klonowski. W pamięci pozostał też zamglony obraz wizyt w naszym domu piłkarzy Górnika i krzątania mamy w kuchni, w celu przygotowania czegoś do zjedzenia dla tak wyjątkowych gości.

A poniedziałki? Też były szczególne. Tata wracał z pracy (z ulicy Beethovena) ok. 16.00, jadł obiad i o wpół do szóstej szedł „na zarząd”, czyli na zebranie zarządu do siedziby klubu przy Al. Wyzwolenia, tuż obok starego „GDK-u”⁷. Wracał wieczorem i oczywiście zdawał mamie relację co postanowiono.



Stadion na Nowym Mieście rok 1971, wejście na murawę od strony basenu

Jednego roku 1 maja rodzice zabrali mnie do siedziby klubu, by z okien oglądać pochód pierwszomajowy. Nie wyobrażacie sobie, co to była za atrakcja – siedzieć w oknie Górnika i patrzeć! Koledzy w szkole mi zazdrościli. Wówczas po raz pierwszy widziałam półki z pucharami i byłam zaskoczona, że Górnik zdobył ich aż tyle.

Moja rodzina była związana z Górnikiem na dobre i na złe. Tata był aktywnym działaczem, mama – dobrym duchem wspierającym wszelkie rodzinne działania.

Czas popłynął dalej... Moi rodzice odeszli, część ich kolegów również... Mecze wyglądają zupełnie inaczej... Czy dzisiaj są rodziny, związane na dobre i na złe z Górnikiem? To już Wy wiecie.

XI

Nowe Miasto

„Ludzie czekali nie wiedząc czy będą jakieś miejsca, czy nie. Jakie było rozczarowanie, gdy było jedno lub dwa...”

Do dziś nie mogę zrozumieć dlaczego sportowe bajery są na Białym Kamieniu. Dlaczego najpierw zburzono tam pływalnię i halę, by postawić halę i pływalnię, podczas gdy na Nowym Mieście nie trzeba było niczego burzyć. Stary ponemiecki basen umarł śmiercią naturalną pozostawiając po sobie ekologiczny ogród botaniczny z ziołami i zielskiem. Rozpadły się też trybuny stadionu od strony basenu. Cóż, jedna czwarta trybun została zbudowana przez człowieka i nie wytrzymała próby czasu w przeciwieństwie do trzech czwartych, leżących na skarpach. Bo z której strony nie patrzeć – stadion na Nowym Mieście leży w naturalnej dolinie... I rozpada się ... Tu nie trzeba było niczego burzyć, a jedynie budować. Tu jest hala lekkoatletyczna, dwa boiska treningowe – jedno na „górze”, drugie – od strony dawnego basenu, zwane w moim dzieciństwie

„zieloną”. Miejsca aż nadto do wodnego parku, hali sportowej i kilku innych bajerów. Za moich czasów...tak, jestem już w takim wieku, iż mogę tak powiedzieć. Za moich czasów Nowe Miasto żyło sportem, za moich czasów to były czasy!

Pewnego dnia zaskoczyła mnie ciocia z Nowego Miasta, co to nieustannie powtarza: „I nie wyrosłaś z tego Górnika”. Okazało się, że ciocia na mecze też chodziła! Było to na przełomie lat 50/60. Na mecze chodzili mężowie, a żony im towarzyszyły. Ciocia z wujkiem na stadion wchodzili od strony dawnego Pogotowia Górniczego, od tej strony też siadali „Bo tam nie świeciło słońce” – wspominają po latach. Panowie oglądali mecz, panie w większości plotkowały, a wynik meczu poznawały po rodzaju okrzyku. Wielkie westchnienie tłumu – strzelili naszym, wybuch radości – my strzeliliśmy. Po stadionie chodził człowiek z wielkim białym pudłem. Były tam lody. Oj, też pamiętam te lody. Smak? Czy w ogóle był? Kształt? Długi na patyku. I dużo wody. W tym lodzie oczywiście. Ale za to jak smakował! Ciocia pamięta również, że na stadionie na środku - w miejscu najdłuższych schodów - była drewniana trybuna honorowa. Aha, kiedyś na boisku ustawiono scenę i występował tam Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”. I chyba ja tam byłam...



Stadion na Nowym Mieście w 1973

Mikołaj Bobowski opowiadał o najpiękniejszym sezonie 1982/83 – historycznym awansie piłkarzy do ekstraklasy. „Wszystkie drzewa w okolicy zajęte były przez siedzących na nich kibiców” - wspomina. Samochody prywatne, często z rejestracją innego miasta, m.in. Jeleniej Góry, parkowano na każdej możliwej uliczce wokół stadionu, nawet na Psim Polu, nie mówiąc już o mojej ulicy - Ogińskiego. Górnika wspierali ludzie wałbrzyskiego PKS-u (ech, gdzie ten PKS...) Na każdy wyjazdowy mecz pracownicy „brali” autokar, wsiadali, liczyli, ile jest jeszcze wolnych miejsc i ruszali najpierw na Nowe Miasto.... do „Barmana”! Tu stali chętni na wyjazd. „Ludzie czekali nie wiedząc czy będą jakieś miejsca, czy nie. Jakie było rozczarowanie, gdy było jedno lub dwa...” - wspomina Mikołaj. Mecze oglądał z reguły z tego samego miejsca, w okolicach zegara. Tu spotykał się ze swymi kolegami. Często obok nich siadał Jerzy Grochmalicki, I sekretarz KW PZPR w Wałbrzychu, poseł na Sejm. Trybuna honorowej nie było. Obecność sekretarza sprawiała, iż

kibice nieco mniej klęli....

Marioli Żabińskiej, absolwentce Szkoły Podstawowej nr 4 przy Świerczewskiego (dzisiaj Polo Market przy Piłsudskiego) stadion kojarzył się ze szkolnymi zawodami. Była biegaczką. Brała również udział w pokazie taneczno-sportowym na głównej płycie boiska. Podczas zajęć wychowania fizycznego nauczycielka, według opisu, ćwiczyła z wybranymi dziewczętami specjalny układ ćwiczeń. Ten układ wykonywały wraz z innymi dziewczętami z wałbrzyskich szkół. Ile było tych dziewcząt? Całe boisko. Dziewczeta miały na sobie białe płócienne tuniki, które musiały uszyć we własnym zakresie. Z jakiej okazji był to pokaz? Może ktoś pamięta?

Komuś Nowe Miasto kojarzy się jeszcze z kolarstwem. Organizowano kryterium uliczne z metą na stadionie. Gdzieś w zakamarkach mej pamięci wyłania się zamglony obraz kolarzy jadących ulicą Ogińskiego, Paderewskiego, Namysłowskiego... A może innymi? Wyścig Pokoju? Nie, za moich czasów nie. Meta jednego z etapów była na Białym Kamieniu.

Nie pamiętam żadnych zawodów na basenie. Tu przychodzili zwykli śmiertelnicy. Najpierw jako maluchy pluskaliśmy się w części naj płytszej. Środkowy basen przeznaczony był dla „młodzieży”, jak mawialiśmy. I wreszcie trzecia część, najbliżej wejścia – dla „dorosłych”. Patrzyliśmy z podziwem na śmiałków skaczących z wieży w sześciometrową głębię.

My - ludzie z Nowego Miasta - tęsknimy za dawnymi czasami... Tęsknimy za widokiem kibiców zmierzających ze wszystkich stron miasta na stadion... Za kolejkami przy stadionowych kasach.... Za kąpielą w basenie... Jedynie „Barman” pozostał. Na szczęście...

XII

W pogoni za idolami

„Uznałam, że najważniejsze to zlokalizować miejsce ich zamieszkania. Potem założy się punkt obserwacyjny, podpyta się sąsiadów i zakres wiedzy o idolach znacznie się poszerzy”

Och, kiedyś to były czasy... Zwykło mawiać moje pokolenie wspominając swą młodość. Rzeczywiście, były takie czasy, kiedy byliśmy wszyscy piękni i młodzi, a do tego pełni energii. Inne czasy niż obecnie, bo i rok i wiek inny. To znaczy teraz mamy XXI, przedtem był XX wiek. Technika stała wówczas na niższym poziomie, ale po Wałbrzychu jeździły autobusy, jak obecnie. Mało tego, stało wówczas wiele kamienic, które stoją do dziś. A są to kamienice, które jeszcze wybudowali nasi poprzednicy narodowości innej.

I tak jak teraz, tak wtedy mieliśmy swych idoli, o których chcieliśmy wiedzieć jak najwięcej. Dziś po prostu klikamy w pasekko wujka Google i mamy wiadomości na wyciągnięcie ręki. A kiedyś... Kiedyś to były czasy...

Moimi idolami byli oczywiście koszykarze Górnika, zwłaszcza upatrzyłam sobie dwóch:

Janusza Krzesiaka i Mieczysława Zenflera. Chciałam oczywiście wiedzieć o nich jak najwięcej, czy mają żony lub narzeczone, czym się interesują, oprócz koszykówki oczywiście, z kim i gdzie mieszkają, co jadają na obiad. Uznałam, że najważniejsze to zlokalizować miejsce ich zamieszkania. Potem założy się punkt obserwacyjny, podpyta się sąsiadów i zakres wiedzy o idolach znacznie się poszerzy.

Jako, że byłam już po obejrzeniu superszpiegowskiego serialu „Stawka większa niż życie”, doskonale orientowałam się, jakie metody operacyjne stosuje tajny agent. Po prostu takiego idola należy śledzić. Dowiedziałam się, kiedy koszykarze mają trening, na „Teatralnej” oczywiście. Zapewne zacząłam się w pod murami naszego teatru i czekałam. Na pierwszy ogień poszedł Janusz Krzesiak. Z posiadanych przeze mnie wiadomości wynikało, że mieszka gdzieś na Nowym Mieście. Śledzenie ówczesnego kapitana drużyny było więc proste. W razie wpadki zawsze mogę powiedzieć, że wracam do domu.

Rzeczywiście Janusz po treningu ruszył w stronę Nowego Miasta, czyli w górę Słowackiego, potem Kopernika, potem przez Park Sobieskiego, aż doszedł do ulic uzdrowskowych. Pieszko. Po treningu pod górę obok starej kopalni „Herman”. Zgubiłam go na Ciechocińskiej. Ale nie dałam za wygraną.

Wiosną lub latem to było. Przyszła do mnie Krysią, koleżanka z podwórka. Przeczytałam jej kilka swoich wierszy, być może o Mieczysławie Zenflerze, opowiedziałam o częściowym niepowodzeniu akcji na Ciechocińskiej i ambitnie postanowiłyśmy zlokalizować Janusza, czyli poznać numer kamienicy i mieszkania. Przypomniłyśmy sobie, że właśnie na tej ulicy mieszka nasza znajoma Dorota. Nic prostszego – trzeba ją odwiedzić.

Doroty w domu nie było. Otworzyła nam jej mama. Robiąc maślane oczy poprosiłam o... adres Janusza, bo mam do niego ważną sprawę z klubu... Nie wiem, co odpowiedziała pani, ale upragnionych przeze mnie numerów nie podała. Potem razem z Krysią ponownie śledziłyśmy Janusza. Ponownie zniknął w okolicach Ciechocińskiej... Kiedy w 1988 roku świętowaliśmy zdobycie mistrzowskiego tytułu, Janusz mieszkał na Psim Polu. Blisko poprzedniego miejsca.

Przyszedł czas na drugiego idola. Śledzony Mieczysław zawsze zniknął na Placu Grunwaldzkim. Gdzieś popełniałam błąd w technice śledzenia. Może byłam za daleko... Aż wreszcie się udało! Nasz center, wówczas mówiło się – środkowy, zatrzymał się na przystanku autobusowym w stronę Szczawna Zdroju.

Było już po osiemnastej. Jak na ówczesną nastolatkę i ówczesne zwyczaje czas było wracać do domu. O nie, nareszcie mam „Mieciuchnę” w zasięgu ręki, teraz zrezygnować? Kapitan Kloss nie poddaje się! Ruszam za nim! To znaczy razem z nim, obojętnie jakim autobusem pojedzie. Wsiadł w autobus do Szczawna. Ja oczywiście też. Pamiętam, że ścisk był. Wsiadł w Szczawnie. Ja też. Ruszył pieszo. Ja też. Trasy nie opiszę, bo zdradziłabym miejsce zamieszkania, a RODO obowiązuje.

W końcu wszedł do jednego z domów. Zwycięstwo było blisko! Jest ulica, jest numer domu,

jeszcze mieszkania... Szczęście mi sprzyjało. Z budynku wyszedł starszy pan. Podeszłam do niego i starym tekstem o sprawie z klubu, zapytałam, pod którym numerem mieszka koszykarz. Powiedział.

Kiedy przyjeżdżam na Rodzinną Ziemię, zaglądam na ową ulicę. Czasami widzę tam idola mojej młodości. Czasami spotykam koszykarza na trasie, którą przed laty go śledziłam. Nostalgia porusza mi serce... Czasie, dlaczego przemijasz...

Aha, wyprawa do Szczawna spowodowała, iż późno wróciłam do domu, za późno. Oberwałam i chyba miałam szlaban na wyjście na podwórko. Oczywiście, że się rodzicom nie przyznałam, że wyśledziłam, gdzie mieszka Mieczysław Zenfler.

XIII

Rocznice

„Dyrektor chyba zadał retoryczne pytanie, co zrobię, jak mi tego wolnego nie da. Oczywiście, że pojadę”

Nasz Górnik wkroczył w wiek senioralny. Takie tam sobie chlubne 70+. Teraz trochę wspomnień związanych z rocznicami właśnie.

Najmocniej utkwiała mi w pamięci dwudziesta piąta rocznica powstania klubu. Wtedy bowiem z roli dziecka chodzącego na mecze z rodzicami, przerodziłam się w prawdziwego kibica. Jak mówiły dobre ciocie, koszykówka padła mi na serce, duszę i rozum. I tak już zostało do dziś. Pokochałam Górnika właśnie zimą 1971 roku.

A jaki był to wówczas klub? Potężny, siedem sekcji, własny stadion, hala przy „Teatralnej” i, mówiąc współczesnym językiem, wielki sponsor – Kopalnia Węgla Kamiennego „Wałbrzych”. Z jubileuszowego roku mam sporo artykułów wklejonych do zeszytu. W lekkoatletyce nadal głośno było o Stanisławie Grędzińskim, znakomitym biegaczu, olimpijczyku, który co prawda już nie startował, ale sławą cieszył się nadal. Coraz jaśniej świeciła gwiazda Andrzeja Kupczyka, średniodystansowca, późniejszego olimpijczyka z Monachium 1972. Wiosną odbył się wyścig kolarski na 25-lecie klubu Baryt Boguszów. Wygrał go wałbrzyszanin Zygmunt Pfeifer i zespół kolarzy Górnika. Na hipodromie w Książu zorganizowano V Ogólnopolskie Zawody Jeździeckie o „Złotą Lampkę Górnica”. Wygrali oczywiście gospodarze, czyli jeźdźcy Górnika Wałbrzych. Jesienią piłkarze wywalczyli awans do II ligi. Stadion na Nowym Mieście triumfował. Moi ukochani koszykarze awans do grona najlepszych wywalczyli w sezonie 1969/1970, a w roku jubileuszowym do Wałbrzycha przyjeżdżali najlepsi z najlepszych. Spadli co prawda z I ligi, ale zrobili na rywalach wielkie wrażenie. W klubie byli jeszcze szachiści i narciarze.



Z tamtego roku pozostało mi kilka pamiątek, w tym ta najciekawsza – malutki, jedynie dziesięciocentymetrowy porcelanowy puchar. Nie ma na nim sygnatury i nie wiem, kto go wyprodukował. Śmiem jednak twierdzić, że była to jedna z wałbrzyskich „porcelan”.

Zupełnie nie wiem, jak świętowano pięćdziesiąte urodziny... Trudny był wtedy czas dla Wałbrzycha. Z kopalń zjeżdżały ostatnie wózki z węglem: Zakład Górniczy „Victoria” - 14.05.1994, Zakład Górniczy „Wałbrzych” - 29.12.1994, Wałbrzyska Kopalnia Węgla Kamiennego „Julia” - 20.09.1996, Zakład Górniczy „Wałbrzych” Antracyt - 29.06.1998...

Za to za dziesięć lat, w 2006 roku, rocznicę świętowałam w Wałbrzychu. Wówczas regularnie odwiedzałam swoje miasto i miałam dobry kontakt z kibicami. We wtorek, 26 września w internecie ukazała się wiadomość o meczu Gwiazd Polskiej Koszykówki z Gwiazdami Górnika! Dawnych gwiazd oczywiście. Gwiazd z moich czasów. W głowie mi zahuczało. Przecież ja tam muszę być! Jestem co prawda nauczycielem i mam masę wolnego, ale nie na początku roku szkolnego...

W środę przeanalizowałam plan lekcji. Potem odwiedziłam dwie koleżanki. I wreszcie stanęłam przed dyrektorem. Nie ściemniałam. Powód podałam jak najbardziej autentyczny. Szef znał moją słabość do sportu. Wyjaśniłam, że potrzebny mi wolny piątek. Tego dnia mam tyle i tyle lekcji, na tej zastąpi mnie koleżanka X – proszę oto materiał do przeprowadzenia zajęć, na kolejnych koleżanka Y – też mam wszystko przygotowane, a z ostatniej lekcji klasę się zwolni i odpracuję te zajęcia w poniedziałek na tej oto godzinie lekcyjnej. Wszystko przemyślane i dopięte na ostatni guzik. Dyrektor chyba zadał retoryczne pytanie, co zrobię, jak mi tego wolnego nie da. Oczywiście, że pojadę. Pytanie tylko, kiedy wrócę, przecież mogę się w Wałbrzychu rozchorować...

Oczywiście, była to podpucha. W czwartek ruszyłam w stronę ukochanego miasta. Tradycyjnie przyjechałam na istniejący jeszcze wówczas dworzec PKS o trzeciej nad ranem lub w nocy – jak kto woli. Przemieściłam się do Szczawna, gdzie zawsze kwaterowałam w Domu Wypoczynkowym „Magnolia”. Parę godzin snu, spotkanie ze znajomymi, rodziną i w sobotę 30 września – MECZ. Bałam się. Czy rzeczywistość wytrzyma konfrontację z utrwalonym obrazem z dzieciństwa? Wszak miałam znowu zobaczyć swych idoli w hali sportowej. Może któryś zagra? Nie lękałam się, że moi chłopcy z 1971 roku wyskoczą na parkiet i będą celnie rzucać do kosza, kozłować, bezbłędnie podawać. A ja? Co będę czuła, widząc ich ponownie? Taki sam dreszcz emocji jak przed laty... ilu laty... trzydziestu pięciu...

Do „osirowskiej” hali weszłam jak zwykle bez biletu, wejściem dla zawodników. Oczywiście nikt nie śmiał mnie wywalić na zbity pysk, chociaż miałam wrażenie, że tacy byli. I tak stojąc blisko drzwi witałam każdego wchodzącego zawodnika. Poznałam wszystkich i czułam się prawie tak samo, jak przed laty. Do hali wchodziłi moi zawodnicy, do hali wchodziłi mistrzowie, do hali wchodziłi moi idole. Czas wyrył swe piętno na każdym z nas, ale mój podziw dla moich chłopaków nie osłabł. Wprost przeciwnie. Z czasem i ze wspomnieniami nadal byli dla mnie wspaniałymi sportowcami.

A potem był mecz. Taki inny, pokazowy, trochę koszykówki, trochę zabawy. Na ławce trenerskiej Górnika – Jan Lewandowski i Teodor Mołłow. Ci, którzy nie grali, siedzieli blisko siebie. Dostrzegłam Mieczysława Zenflera – mistrza rzutów hakiem, moją wielką koszykarską miłość. W czasie przerwy podeszłam do niego. Czy jeszcze mnie pamięta? Szybko rzuciłam parę faktów z życiorysu. I wtedy usłyszałam najpiękniejsze słowa tego wieczoru: „Ale pani była blondynką!”. Przed laty - tak. W 2006 roku miałam rude włosy. ”Mieciuchna”, jak pieczołtliwie nazywała go moja mama, pamiętał...

Po imprezie wróciłam do Szczawna. Poszłam na pizzę i w oczekiwaniu na nią na serwetkach zaczęłam pisać wiersze... Ostatni napisałam chyba jeszcze w latach osiemdziesiątych... Od meczu na 60-lecie klubu, 30 września 2006, znowu zaczęłam pisać... Nawet kilka nagród poetyckich dostałam. I niech mi ktoś powie, że koszykówka nie jest romantyczna...

XIV

Pielgrzymka

„Moi znajomi jeżdżą do Częstochowy w innym celu. O co zapytają jak powiem, że byłam w tym mieście? O Górnika? Ha, ha, ha! Na pewno nie! Ale jaja co?”

W 2004 roku rzuciłam palenie. Serio, po dwudziestu siedmiu latach zaciągania się 30 (słownie trzydziestoma) szlugami dziennie, rzuciłam z dnia na dzień. Dokonałam wówczas

35

niesamowitego odkrycia: to, co mówią o szkodliwości palenia tytoniu to prawda! Drugie było nie mniej szokujące: w portmonetce forsa się rozmnożyła!

Co robić z tą nadwyżką? Jechać do Wałbrzycha! Zamieszkać w hotelu lub pensjonacie! Zobaczyć Górnika na żywo! Pojechałam pociągiem. Zamieszkałam w Domu Wczasowym „Magnolia” w Szczawnie-Zdroju. Poszłam zobaczyć ukochanego Górnika.

Nieśmiało usiadłam w wałbrzyskiej hali OSiR-u, nieśmiało wypatrywałam znajomych. Niewielu ich, zabrakło większości tych, co to kiedyś mnie znali... Z zazdrością patrzyłam na balkon, gdzie stali młodszy ode mnie kibice ubrani w koszulki z wyhaftowanym logo mojego Górnika, a pod nimi wisiał baner z napisem „Biało-niebiescy”. Ach, mieć taką koszulkę, stać przy takim napisie...

Dzięki Internetowi, w 2005 r. nawiązałam kontakt z kibicami spod napisu. A już w 2006 przeżyłam z młodymi swą pierwszą wielką przygodę.



Z kibicami Górnika w Częstochowie w 2006 roku

Po raz kolejny zimą 2006 r. postanowiłam ruszyć do swego Wałbrzycha. Niespodziewanie termin ferii zimowych zbiegł się z terminem meczu Górnika w Częstochowie. W sumie było to na trasie z Łomży do Wałbrzycha, zatem postanowiłam zahaczyć o to miasto i zobaczyć swoich na „wyjeździe”. Napisałam do młodzieży, że będę w Częstochowie. I tu kolejna radocha! Młodzież do Częstochowy też przyjedzie! Właśnie organizują wyjazd na mecz i oczywiście będę mogła z nimi jechać do Wałbrzycha! Będzie pielgrzymka!

I była. Prawdziwa. Zaczęło się od minus 25 stopni wieczorem. Syn wyciągnął akumulator z auta i przyniósł do domu. Na wszelki wypadek. O siódmej rano mieliśmy ruszyć w trasę i musieliśmy mieć pewność, że nasza „Tawria”, następcza „Zaporożca”, zapali. Odpaliła. Syn jechał do Białegostoku, mnie zostawił w Zambrowie. Stamtąd miałam bezpośredni autobus do Częstochowy drogą krajową numer osiem. Autobus nie przyjechał. Zamroziło go w Białymstoku.

Wsiadłam w taki do Warszawy. Egzemplarz z głębokiego PRL-u: siedzenia pokryte kiepską imitacją skóry, ogrzewanie zaczęło porządnie działać po ok. 80 km, a do tego na dworze zaczęło wiać i sypać śniegiem i kiepskie opony sprawiły, że jak to podczas pielgrzymki – zaczęłam się modlić.

Pod Wyszkowem stanęliśmy. Zawieja śnieżna spowodowała, iż „tir” nie mógł wdrapać się na niewielkie wzniesienie i powstał polski korek. Jak odkorkowano „ósemkę”, nie wiem. Ruszyliśmy po godzinie i do Warszawy posuwaliśmy się z zachowaniem odpowiedniej do warunków prędkością. W końcu dojechaliśmy. Miałam sporo szczęścia. Z opóźnieniem do stolicy dojechał również inny autobus, taki co zmierzał do celu przez Częstochowę. Nareszcie było ciepło i wygodnie. Na dworze też. Zatrzymaliśmy się w Piotrkowie Trybunalskim, a tam – odwilż. W Częstochowie też plusowo. Zakwaterowałam się w Domu Pielgrzyma na Jasnej Górze. Mecz był następnego dnia.

Do hali doszłam pieszo dwie godziny przed meczem. Właśnie zaczęło zamrażać miasto z Jasną Górą. O nie, starsza pani nie będzie marzła na dworze, nawet w Częstochowie! Wchodzę do środka hali. Nikt z miejscowych nie zwraca na mnie uwagi. Zwiedzam. Tu kibiel żeński, tam męski, szatnie zawodników, jakieś biuro, wejście na balkony... Podsluchuję rozmowy organizatorów, z których wynika, że przyjezdnych, czyli kibiców Górnika, posadzą na balkonie. Potem zdanie zmieniają. Lepiej tuż przy parkiecie. Będą pod specjalnym, lepszym nadzorem. Przyjeżdżają koszykarze Górnika. Choroba, nie znają mnie, bo i skąd? Stoję więc nadal w okolicy wejścia na halę i nie wzbudzam żadnego zainteresowania. Może to i dobrze. Moje 95 (nie będzie słownie) kilo nie rzuca się w oczy. Wreszcie widzę jakiś ruch. Ktoś podbiega, ktoś krzyczy, ktoś wzywa następnego. Potem jeszcze kolejnego. Ochrona w akcji. Spojrzenia w oczy. Napięte mięśnie. Wejście obstawione. Są! Przyjechali! Kto? Oczywiście kibice Górnika.

Podjęte przez częstochowian działania wyglądały jakby przyjechało kilka autokarów niesfornych kiboli. Tymczasem był to niewielki bus z kibicami. Grupa weszła do środka. Mnie rzucono koszulkę z okrzykiem: „Przebieraj się”. Na moment mnie zamurowało. To była TA koszulka. TA wymarzona z emblematem Górnika. Szybko włożyłam ją na siebie. Tymczasem wokół niewielkiej grupy wałbrzyszan, już wraz ze mną, skupiło się kolejnych kilku ochroniarzy. Nadszedł moment wejścia na plac gry. Otoczeni przez panów, o ile pamiętam – ubranych na czarno, wkroczyliśmy na halę. Jeden z naszych walił w bęben, dwóch machało biało-niebieskimi flagami. Reszta krzyczała: „Górnik! Górnik!”.

Szłam razem z nimi i nie wierzyłam, że idę. Nie docierało do mnie wówczas, że jestem wśród swoich. W głowie kłębiło się masę myśli i pytań. Co na to moi uczniowie, gdyby wiedzieli? Pal licha ich. Co na to dorośli? Poważna nauczycielka polskiego wśród kibiców? Co ja tu właściwie robię? Jestem na meczu Górnika w Częstochowie? Moi znajomi jeżdżą do Częstochowy w innym celu. O co zapytają jak powiem, że byłam w tym mieście? O Górnika? Ha, ha, ha! Na pewno nie! Ale jaja co? Krzyknęłam kilka razy, ale ze względu na kiepski stan swego nauczycielskiego gardła,

podczas meczu zachowałam ciszę. Krzykiem dopingowali naszych młodsi. Niestety, przegraliśmy 72:75.

„Wracasz oczywiście z nami?” – usłyszałam wychodząc z hali. „Tak, wracam”. Łza zakręciła mi się w oku. Konrad nie zdawał sobie sprawy, jak ważne zadał mi pytanie. Wracać, powracać... czasownik niedokonany... Tak, ja wracam do Wałbrzycha, nieustannie, ciągle wracam i będę nadal wracać. Od tamtej pory bardzo często używam tego właśnie słowa, kiedy mówię o wyjeździe do Wałbrzycha. Ja tam nie JADE, ja tam WRACAM. Mam do kogo, mam do czego wracać.

Po wycieczce do Częstochowy moje więzi z biało-niebieską młodzieżą Górnika zacieśniły się bardziej. Dziś jestem cicią Grażynką.

XV

Mój ostatni raz...

„Myślałam, że już nigdy nie zobaczę Górnika na mojej hali... Jak bardzo się myliłam...”

W 2013 roku huknęło jak grom z jasnego nieba. Ostatni trening, ostatnia impreza, rozkaz wyprowadzki. Słowem tragedia!

Czy wiecie, że kiedyś w języku koszykarskich kibiców nie funkcjonowała nazwa „Teatralna”, że kiedyś w ogóle tego miejsca nie nazywano inaczej niż po prostu „hala”? Kiedy padało to słowo, wszyscy wiedzieli, o jaki obiekt chodzi, gdzie się znajduje i co się w nim dzieje. No tak, wiecie już, że wtedy była inna hala, lepsza, większa... Jednak mówiąc o tamtej, na Białym Kamieniu, używano różnych określeń, tutaj trzeba było podać lokalizację, właściciela, lub po prostu – to była „tamta hala”... Nasza swą nieformalną nazwę otrzymała po otwarciu hali OSiR-u. Teraz grało się na „Teatralnej” lub na „Osirze”. Szczerze mówiąc, długo do OSiR-u nie mogłam się przekonać... Myślałam, że już nigdy nie zobaczę Górnika na mojej hali... Jak bardzo się myliłam...

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że w sezonie 2011/2012 nie będzie mojego Górnika w żadnej lidze seniorów. Klub się rozsypał. We wrześniu grupa fanatyków wałbrzyskiej koszykówki zgłosiła drużynę do rozgrywek III ligi! Wszystko się we mnie śmiało! I oczy, i serce, i dusza, i usta, i wszystkie mięśnie! Wieści nadchodzące z Wałbrzycha „internetem” zawsze były dobre. Drużyna składała się z młodych chłopców i nie liczone na sukcesy nawet w III lidze. Ale w tej całej koszykarskiej zabawie było jeszcze coś, owe „COŚ” co było dla mnie najciekawsze i równie ważne jak postępy młodych koszykarzy.

Górnik powrócił na „Teatralną”.

W starej poniemieckiej rzeźni, przerobionej na salę sportową spędziłam swoje dzieciństwo. Tu przychodziłam razem z rodzicami, tu uczyłam się podstaw koszykówki, kibicowania. Tu zrozumiałam, że Wałbrzych to moja Mała Ojczyzna, a reprezentujący go koszykarze to symbol miasta. Przez kilka lat, po wyjeździe z ukochanego Wałbrzycha, jedynie przechodziłam obok mojej hali. Bałam się wejść do środka. Bałam się, iż widok obecny zamaże wspomnienia z dzieciństwa. Któregoś roku, wychodząc z teatru, zaryzykowałam. Było inaczej, ale odżywały wspomnienia wydarzeń, ludzi, z których część już odeszła na drugą stronę... Wspomnienia zostały. Obraz dzieciństwa nie zatarł się.

W latach osiemdziesiątych koszykarze przenieśli się do innej hali, większej i lepszej. „Teatralna” służyła wiernie dzieciom i młodzieży. Czasami trafiałam na ich mecze koszykówki i siatkówki. Prosiłam młodych o zrobienie mi zdjęć na tle boiska, widowni, w mojej szatni... Cieszyłam się, że stara hala jeszcze żyje.

Tymczasem w 2011 roku Górnik powrócił na „Teatralną”! Początkowo nie wierzyłam ani opisom meczy, ani zdjęciom. Po Wałbrzychu krążyły plotki, że będzie rozebrana na cegły, bo pobliski teatr dramatyczny chce zrobić na jej miejscu parking; że robi się z niej miejsce do handlu, że w ogóle po co ta rudera skoro w Wałbrzychu buduje się hala sportowa z prawdziwego zdarzenia. Tymczasem rudera zmartwychwstała. I to nie tylko dzięki sportowcom.

Reanimacji starego obiektu dokonali właśnie kibice. Na zdjęciach i zamieszczanych w internecie filmach widziałam halę pełną kibiców ubranych w klubowe biało-niebieskie barwy, z flagami, bębniem, dopingujących młodych chłopców grających na parkiecie. Z odległości 600 km to wszystko było nie do uwierzenia. Musiałam przekonać się na własne oczy. Zimą 2012 roku znalazłam się w Wałbrzychu. Z autobusu miejskiego wysiadłam na Placu Grunwaldzkim. Chwilę postąłam, rozglądając się wokół i wypatrując znajomych. Z kolejnego autobusu wysiadło kilku młodych ludzi. „Dzień dobry” – usłyszałam. Spojrzałam na człowieka. No nie znam, tego akurat nie znam. „Dzień dobry” – odpowiedziałam. A może człowiek mnie z kimś pomylił? Ruszyłam ulicą Słowackiego, potem Lewartowskiego⁸ i wreszcie jest – „Teatralna”. Ciągle taka sama. Ciągle taka jak za mego dzieciństwa. I ciągle stoi przy teatrze. Weszłam do środka. „Dzień dobry! Dobrze, że pani już jest!”. Ratunku! Kto to? Widzę, że dwóch młodych, ale kim są? Wiem, że kibicami Górnika. Ale... Dzięki ci Facebooku, są wśród moich znajomych... Wstęp na trzecioligowe mecze jest bezpłatny, jednak tym razem kibice zbierali pieniądze na cel charytatywny. Wrzuciłam je do puszek. Otworzyłam drzwi do najważniejszej części obiektu: boisko i widownia. Czyżbym cofnęła się w czasie?

Widownia wypełniona była do ostatniego miejsca. Na boisku trwała rozgrzewka. Kiedyś już tak było. Dawno temu. Kiedyś ta widownia też była pełna i kiedyś po boisku też biegali koszykarze. 1971, 72, 73... i teraz 2012... Gęba mi się roześmiała. Jedno „dzień dobry”, drugie...szybka kawa u

⁸Dziś ul. Lewartowskiego nosi nazwę ul. Wajdy – przyp. red.

prezesa klubu, parę słów z trenerem, pojawia się znajomy, z którym znamy się z internetu, jeszcze jeden znajomy, znajomy dziennikarz, jeszcze... rety, jestem u siebie! Ludzie mnie znają, ja ich też. A najwięcej znajomych jest tam, w „młynie”, tam gdzie jest dusza hali, prawie w tym samym miejscu, w którym przed laty siadywałam oglądając mecze. Oczywiście, że tam. Tam była drewniana ławeczka. Ktoś podaje dłoń, ktoś całuje w policzek, ktoś obejmuje. W „młynie” się nie siedzi, tu się stoi podczas meczu. Stoimy. Krzyczymy. Bęben wybija rytm dopingu. Szaliki nad głowami, śpiewamy o Wałbrzychu. Kiedyś też tak śpiewałam.

Na moment przymykam oczy. Widzę swoich rodziców, pana Stefana, pana Emila, pana Heńka, moich koszykarzy z lat siedemdziesiątych i siebie zaciskającą dłonie z emocji. Mam znowu naście lat i całe życie przed sobą! Mecz się kończy. Wygraliśmy. Jeszcze tylko małe piwko z kibicami, ze starszymi jestem na „ty”, „Płetwa” zwraca się do mnie „ciociu”. Podoba mi się to. Jest spontaniczne i bardzo prawdziwe.

„Teatralna” znika... Jak zniknęła moja podstawówka, parę kamienic z Nowego Miasta, basen, zanikający stadion. Pewnie tak być musi... Ostatnia impreza, która odbywała się na hali to spotkanie osób niepełnosprawnych. Dla mnie – symboliczna. Ostatnie moje lata mojej pracy w szkole to właśnie praca z ludźmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych. Przypadek?

Słucham „SPG Dystrykt”. Nullo rapuje: „(...) *grałem z 15 jak Carter, dokładnie wiem jak pachnie „Teatralnej” parkiet*” Fajnie, że młodszy ode mnie zapamiętają moją halę

XVI

Janusz Krzesiak [*] 2012

„Chłopak z tamtych lat”

Wiadomość o jego śmierci dotarła do mnie ze...Szwecji. Dopiero potem okazało się, że moi wałbrzyscy znajomi wiedzieli, iż odszedł w październiku. Nie było prasowych wiadomości, nie było nekrologów, nie było uroczystości... Odszedł tak, jak odeszło już wielu... jak odejście jeszcze kilku... jak być może my odejdziemy...Po cichu....

Janusz Krzesiak przybył do Górnika z Lublina. Pierwsze punkty dla biało-niebieskich zdobył w sezonie 1968/1969. Od tej pory przez wiele lat był podstawowym zawodnikiem Górnika. Grał z „ósemką”. Przez dwa lata pełnił funkcję kapitana drużyny. To jeden z moich chłopaków, którzy w sezonie 1969/1970 po raz pierwszy awansowali do ekstraklasy. Mimo spadku z grona najlepszych, to był bardzo udany rok dla Janusza. Ówczesna „Trybuna Wałbrzyska” napisała: „Indywidualnie w przekroju całego sezonu bez wątpienia najlepszym koszykarzem okazał się najskuteczniejszy i wszechstronnie przygotowany technicznie zawodnik zespołu - Janusz Krzesiak (553 pkt). Gracz (...) zajął XII miejsce w lidze biorąc pod uwagę ilość zdobytych punktów.”

Ostatnie punkty dla Górnika zdobył w sezonie 1979/1980. Według internetowej Historii Polskiej Ligi Koszykówki przez sześć lat gry Górnika w ekstraklasie zdobył 2545 punktów. Punktów z ligi niższej – brak.



Janusz Krzesiak

Pierwszy raz ujrzałam go oczywiście 3 lutego 1971 roku, kiedy zakochałam się w koszykowie. Był ważnym obiektem moich zainteresowań, wszak najlepszy, wszak kapitan zespołu. Razem z Krysią, koleżanką z podwórka, wyśledziłyśmy, że mieszka na Nowym Mieście, na Ciechocińskiej. Często spacerowałyśmy w okolicach jego mieszkania (takie sobie paparazzi lat siedemdziesiątych). Szczerze mówiąc nie pamiętam tych wypraw, ale Krystyna ma ją ciągle w pamięci i uśmiecha się wspominając stare, dobre czasy. Kiedy telefonicznie poinformowałam o jego śmierci, zareagowała bardzo szybko: „Ach, to ten za którym kiedyś szłyśmy!”. Nigdy nie była na meczu koszykówki, a Janusza, dzięki moim detektywistycznym zapędom, zapamiętała.

Po raz pierwszy rozmawialiśmy prywatnie jesienią 1986. Przyjechałam na kilka dni do rodzinnego miasta i natknęłam się na Janusza w autobusie miejskim. Zaczepiłam go. Oczywiście, że nie poznał. Wystarczyło jednak podanie nazwiska i wiedział, kim jestem. Podczas tego samego pobytu widzieliśmy się jeszcze na meczu 18 października. Z Hutnikiem Kraków wygraliśmy 84:67. Na parkiecie występowali Reschke, Kozłowski, Krzykała, Wieczorek, Żywarski, Anacko, Buczkowski... Janusz siedział za koszem w jasnych spodniach i ciemnej skórzanej marynarce... Pamiętam? Nie, mam zdjęcie, niestety bardzo słabej jakości...

Kolejne nasze spotkanie nastąpiło w słynnym roku 1988. Kiedy przed kilku laty pisałam

wspomnienia o tamtych pięknych chwilach, specjalnie opuściłam bardzo osobiste wspomnienie...
Dziś przyszedł na nie czas...

To właśnie razem z Januszem świętowałam zdobycie mistrzostwa Polski przez naszych koszykarzy. Na terenie OSiR-u znaleźliśmy ciche miejsce na spotkanie w przerwie drugiego spotkania. Nakrył nas tam pan Kuster, ale uśmiechnął się i skomentował: „No tak, sławny koszykarz i ta z Łomży...” „Tylko nie z Łomży! Jestem z Wałbrzycha!” – odpowiedziałam oburzona.

Po meczu wróciliśmy w zakamarki hali. Janusz usiadł na starym biurku. Opuścił głowę. „Szkoda, że ja tego nie doczekałam... Ale wiesz co.... dobrze, że ty jesteś.... byłaś przecież naszym kibicem....to tak jakbym ja zdobył to mistrzostwo...” . W oczach miał łzy. Przez kilka sekund rzeczywiście czułam jakby to moja drużyna z lat siedemdziesiątych została mistrzem Polski. Dzięki temu, że obok mnie był chłopak z tamtych lat.

A potem wróciliśmy na Nowe Miasto. Janusz chciał koniecznie, bym zaszła do jego mieszkania. Dał mi kilka starych, podniszczonych fotografii mojej drużyny. „Weź je. Nie wiem, jaki los czeka je u mnie. U ciebie będą bezpieczne. Uszanujesz je.” Z tonu głosu wyczułam, że coś niedobrego działo się w jego życiu, coś, o czym nie chciał mówić...

Potem spotkałam go latem 1990 czy 1991 roku. Zamieniliśmy parę sympatycznych słów zamienionych na postój taksówek na Nowym Mieście (przy starej „Nowomiejskiej”). Ostatni raz usłyszałam jego głos 30 września 2006 r. podczas Meczów Wspomnień rozegranego z okazji 60 - lecia wałbrzyskiej koszykówki. Janusz figurował w składzie zespołu Górnika. Wymieniano Jego nazwisko na hali, podawano w prasie. Na meczu jednak się nie zjawił. Zadzwoiłam do Niego. Zapytałam, dlaczego nie ma go razem ze kolegami. Nie potrafił odpowiedzieć.

- Ale ty jesteś? – dopytywał się cichym głosem, jakby nie wierząc w moje słowa.

- Ja jestem

- Tak... Ty zawsze nas bardzo lubiłaś...

Tak, bardzo... I dlatego właśnie to ja winna jestem Januszowi tych kilka wspomnień...

XVII

Mój numer 6 [*] 2019

„Chłopak z mojej drużyny. Członek drużyny, który koszykówki mnie nauczył i dzięki której koszykówkę pokochałam”

Zawsze przychodzi za szybko. Zawsze szukamy jej przyczyn. Zawsze zastanawiamy się, czy nie mogliśmy jej zaradzić. Zawsze pozostawia nas w żalu, zapłakanych i pełnych wątpliwości w sens istnienia. Niestety, wszyscy do niej zmierzamy.

Śmierć.

Koszykarski Wałbrzych poniósł wielką stratę. Na błękitne boiska odszedł jeden z najbardziej zasłużonych dla Wałbrzycha koszykarz Stanisław Ignaczak. Chłopak z mojej drużyny. Członek drużyny, który koszykówki mnie nauczył i dzięki której koszykówkę pokochałam.

Na różnych internetowych stronach można znaleźć statystyki dotyczące Jego gry. Oto dowiadujemy się, że rozegrał 361 meczów, zdobył 3549 punktów, co daje średnio 9,8 punktów na mecz. Grał w Górniku Wałbrzych i Resovii Rzeszów. Zdobywał mistrzostwa i wicemistrzostwa kraju z Górnikiem Wałbrzych i Resovią Rzeszów. Pada również nazwa Gwardii Wrocław, ale w podanych na stronie „PLK History” danych brakuje informacji o udziale Staszka w rozgrywkach w tym klubie. Jest natomiast wzmianka o grze w Gwardii Szczytno. Chyba pomyłka...W czasie swojej kariery zdobył dwa tytuły Mistrza Polski - 1975 i 1982, trzy wicemistrza – 1974, 1981, 1983, dwa razy wraz z drużyną wywalczył trzecie miejsce w kraju - 1976, 1977, raz zdobył Puchar Polski – 1974.

Kim dla mnie był Staszek? Oczywiście poznałam go z czarowanego dnia 3 lutego 1971 roku, kiedy w niewielkiej sali, zwanej szumnie halą sportową, w Wałbrzychu przy ulicy Masarskiej (obecnie Plac Teatralny) zakochałam się w koszykówce. A ta miłość, jak wiedzą moi znajomi, zmieniło moje życie raz na zawsze.

Staszek był najmłodszym zawodnikiem w drużynie. Wielki talent, nadzieja wałbrzyskiej koszykówki – tak mówiono w „kularach” hali, znaczy się po prostu przy drzwiach wejściowych w szatni dla kibiców. Najmłodszy wyróżniał się sylwetką. Wysoki i chudy. O takich mówiło się wówczas – długi. Oczywiście, że wołano na niego „Igła”. Niesamowita zbieżność sylwetki z nazwiskiem! Moja koleżanka, kibicująca Górnikowi na przełomie lat 70/80 pamięta natomiast nieco późniejsze określenie Staszka - „Szpilka”: wysoki, chudy, a na końcu niewielka głowa.

Wzrost wałbrzyszanina budzi dziś sporo... kontrowersji. Otóż w wydawnictwach poświęconych historii koszykówki w Wałbrzychu widnieje wzrost... 175 cm. Podejrzewam, że ktoś popełnił klasyczną literówkę, a potem kolejny ktoś ją powtórzył. Staszek na pewno miał powyżej 190 cm.

Na początku lat siedemdziesiątych spodobał się mojej koleżance, którą zabrał na mecz, żeby zobaczyła, co to koszykówka. Oczywiście, że zapytałam dlaczego akurat On... Odpowiedź była prosta: „Bo reszta to starzy ludzie, on jeden jest młody. U takiego młodego to jeszcze mam szansę”. No tak, jak człowiek ma trzynastkę na karku, to wszyscy powyżej dwudziestki są starcami. Wtedy nie wiedziałam, ile owych lat Staszek miał naprawdę. Na swoje dwadzieścia jeden w 1971 roku zdecydowanie nie wyglądał. Panie by się cieszyły – wyglądał znacznie młodziej.

Staszka spotkałam na wczasach w Dziwnowie. Był rok 1971, może 1972... Pojechałam do ośrodka wypoczynkowego Kopalni Węgla Kamiennego Wałbrzych wraz z ojcem i bratem. Górnik

był wówczas klubem tejże kopalni, nie więc dziwnego, że koszykarze przyjechali odpoczywać właśnie do Dziwnowa. Było ich dwóch: Staszek Ignaczak i Grzesiek Karolewski.

Panowie przyjechali na dwa tygodnie i zapewne świetnie się bawili. Oczywiście kłaniali się codziennie mojemu ojcu. Staszek podrywał młodą, ładną brunetkę. Wypatrywałam jej potem podczas meczów. Nie, to była tylko wczasowa znajomość. Nigdy jej potem nie spotkałam. Ale wówczas zapisałam na swoje konto kolejną informację o życiu prywatnym jednego ze swych idoli. Takie czasy, internetu nie było i wszelkie informacje o życiu prywatnym znanych osobistości trzeba było zdobywać w inny sposób.

W 1973 Staszek przeniósł się do Rzeszowa. Mówiono, że dostał „dobrą propozycję”. Mój Górnik wówczas balansował nieustannie między I a II ligą. Potem Staszek wrócił do Wałbrzycha. Od tamtego roku nie widziałam już go w grze. Powinnam pamiętać rok 1981, ale nie pamiętam. Ze statystyk Staszka wynika, że w sezonie 1980/81 rozegrał tylko osiem spotkań w barwach Górnika. To były te, na których nie byłam.

Wspominając wraz z koleżanką Staszka pamiętamy go bardzo dobrze. Może brak konkretnych sytuacji, wspomnień konkretnych czynów, ale jest to najważniejsze.... on BYŁ. Po prostu – BYŁ. W pierwszej piątce. W koszulce z napisem „Górnik”. Był zawsze. Ostatni raz spotkałam go w 2006 roku na niesamowitym meczu dawnych gwiazd Górnika Wałbrzych, meczu wspomnień... Wystąpił obok Tadka Reschke, Mietka Młynarskiego, Wojtka Krzykały i innych wielkich wałbrzyskich koszykarzy. Staszek miał wówczas włosy bielsze od moich... Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że jest ode mnie nieco starszy... Wówczas zagrał z numerem 8. Dla mnie zawsze będzie koszykarzem Górnika z numerem 6.

XVIII

Rzucający za trzy - [*] 2019

„W drużynie sławnego w Polsce pierwszoligowego Górnika Wałbrzych zobaczyłam.... swego sąsiada”

Ponad sto lat temu ludzie zajmujący się dzisiejszą socjologią i psychologią doszli do ciekawych wniosków. Uznali, że człowiek jest w stanie rozpoznać kilkaset twarzy innych ludzi i z taką grupą ludzi współdziałać tworząc w miarę jednolitą społeczność. Jako że bogaci mieszkali w pałacach lub wielkich kamienicach, sprawa dotyczyła zabudowań dla robotników. Rozpoczęto budowę osiedli, w których usytuowanie budynków tworzyło duże podwórko. Każde podwórko było miejscem centralnym. Tu znajdowały się „komórki” na węgiel, czasami hodowano zwierzęta, tu bawiły się dzieci i spotykali sąsiedzi. Każdy każdego znał. Najślynniejszym tego typu miejscem jest osiedle górnicze na Górnym Śląsku – Nikiszowiec, powstałe na początku XX wieku.

Bardzo podobna jest zabudowa dzielnicy Nowe Miasto w Wałbrzychu. Miejsce mego

dzieciństwa otaczają zabudowania czterech ulic: Ogińskiego, Namysłowskiego, Sygietyńskiego i Kazury. I jest tak, jak kiedyś ustalili mądrzy ludzie – wszyscy się znają. Nie zawsze osobiście, ale na pewno z widzenia, bo mijają się codziennie idąc do pracy, robiąc zakupy w tym samym sklepie, wyrzucając śmieci do tego samego śmietnika.

Pamiętnego dla mnie dnia – 3 lutego 1971 roku, kiedy zakochałam się w koszykówce – doznałam jeszcze jednego szoku. Otóż w drużynie sławnego w Polsce pierwszoligowego Górnika Wałbrzych zobaczyłam.... swego sąsiada.

Mieszkał wraz z rodzeństwem i mamą w jednym z „ramion” mego podwórza. Często przechodził obok mojej kamienicy. Kłaniał się moim rodzicom. Mówili wtedy: „To taki dobrze ułożony chłopak”. Na ramieniu miał najczęściej sportową torbę. Prawdopodobnie szedł na trening... Właśnie na „Teatralną”, bo ja też chodziłam tam pieszo...

Kiedy więc ujrzałam POLDKA PODSTAWCZYŃSKIEGO w barwach wielkiego i sławnego Górnika, zaniemówiłam. Rety, tak blisko mam prawdziwego sportowca! Pierwszoligowca! Przecież znam go od zawsze! Mieszkamy na tym samym podwórzu!

Poldek był oczywiście „stary”, różnica trzynastu lat, kiedy ma się dopiero dwanaście, to pokoleniowa przepaść. Zawsze jednak był dla mnie taki sam... wysoki blondyn o dyskretnym uśmiechu. Bez wątpienia - prawdziwy wałbrzyski koszykarz. Trenował u słynnego Stanisława Rytki. W książce poświęconej wałbrzyskiej koszykówce „60 lat minęło” jego nazwisko pojawia się w opisie sezonu 1963/64. Junior Poldek wraz z kolegami zdobywa mistrzostwo Dolnego Śląska, a walkę o awans do ścisłego finału mistrzostw Polski młodzi koszykarze przegrywają jednym punktem z Lechem Poznań. W kolejnych sezonach koszykarz stał się kluczową postacią w zespole. Zdobywał dużo punktów i był członkiem drużyny, która wkrótce awansowała do najwyższej ligi.

Stało się to w sezonie 1969/1970. Apolinary Podstawczyński miał w tym wielki udział. W każdym meczu zdobywał punkty. Czy wcześniej tak samo rzucał, jak wtedy kiedy go poznałam? Nie wychodził wówczas w pierwszej piątce. Był owym „szóstym”, może nawet siódmym zawodnikiem. Ale jak już się pojawiał na boisku, to jego udział w meczu był szczególnie widoczny. Poldek miał tylko 185 cm wzrostu, nie toczył walki pod koszami. Był mistrzem w rzutach z dystansu. Ustawiał się za „trumną” (dziś obszar zwany „pomalowanym”) i pewnie rzucał do kosza. Kibice każdy rzut nagradzali wielkimi oklaskami, takimi samymi jak dziś nagradza się „wsady” do kosza. Rzuty z dystansu to była wówczas rzadkość. Niestety, nikt wtedy nie liczył ich inaczej. Każdy rzut to dwa punkty. Zatem, jeśli przeglądamy dziś statystyki z dawnych lat, przy nazwisku „Podstawczyński” dodajmy jeszcze jedną trzecią zdobytych punktów. On rzucał „za trzy”. Sezon 1975/1976 był ostatnim w jego karierze.

Zawsze w barwach Górnika.

Zawsze w Wałbrzychu.

Ostatni raz widziałam Poldka w 2006 roku podczas Meczu Wspomnień. Skromnie usiadł na widowni hali OSiR-u, obok mnie. Uśmiechnął się. Chyba mnie poznał. Był już wtedy po, lub w trakcie walki z ciężką chorobą. Podszedł do niego jeden z organizatorów meczu: „Panie Poldku, proszę do szatni, do swojej drużyny.” - „Ale ja nie gram” - rzekł cicho i bardzo nieśmiało. „Nie szkodzi. Proszę za mną”. Wstał i dołączył do swoich kolegów. Kim był organizator, nie pamiętam....

O mały włos, a Poldek nie stałby się członkiem mojej rodziny. Bo było to tak: kilka razy przyjechała do nas daleka kuzynka Basia w wieku odpowiednim dla młodego koszykarza. Ten, jak to na wspólnym podwórku bywało, zauważył ją i pewnego dnia powiedział memu tacie, że Basia mu się bardzo podoba. Jako że moim rodzicom Poldek zawsze bardzo się podobał, rozpoczęli zachęcanie Basi, by przyjrzała się chłopakowi z sąsiedztwa. Niestety, dziewczyna zakochana chyba była, bo nie wykazała zainteresowania...

Tymczasem po zakończeniu kariery koszykarskiej życie Poldka nie gładkało - ciężka choroba, śmierć brata, syna, żony i matki... To dużo jak na jednego człowieka, zbyt dużo... Teraz odszedł również on... Na biało-niebieskie boisko wśród chmur. Dołączył do zmarłego niedawno kolegi z boiska – Staszka Ignaczaka....

Na pewno zagra tam jeszcze nieraz i na pewno jego rzuty z dystansu niebiańscy sędziowie policzą tym razem za trzy punkty.

XIX

Wałbrzych w blasku złota

„W Polsce nikt nie wierzył, że wygramy. Nikt, oprócz nas - trzech tysięcy kibiców i wielu na zewnątrz hali”

Zdobycie drugiego tytułu Mistrza Polski przez koszykarzy mojego Górnika Wałbrzych było dla mnie najważniejszym sportowym wydarzeniem dotychczasowego życia. Uczestniczyłam w nim osobiście, mimo iż od lat mieszkałam na „dalekim wschodzie”. Spróbuję Wam wszystko opisać, czytajcie, jeśli się nie zanudzicie.

Część pierwsza

Późny wieczór 12 marca 1988 roku. Samotna matka Polka nareszcie ma chwilę wytchnienia. Dzieci śpią, gary wymyte, chata posprzątana, nawet pranie poprasowane. Czerwonym przyciskiem włączyłam czarno-biały telewizor. Nastawiony był na „jedynekę”, (wtedy były tylko dwa programy), może być, zaraz podadzą wiadomości sportowe, zobaczymy jak tam mój Górnik w pierwszym

meczu o mistrzostwo Polski. Eeeee, na pewno dostanie w tyłek od Gwardii, Hala Ludowa i Wrocław to zawsze ciężki teren dla naszych. I jakim cudem walczy o pierwsze miejsce? Nie wiem. Nie śledziłam w tym sezonie na bieżąco poczynania ziomali z Wałbrzycha, miałam inne, niestety smutniejsze sprawy na głowie. Nieważne, ważne, że znowu są na szczycie, no prawie na szczycie.

I z takim oto nastawieniem, bez wiary i nadziei, zmęczona trudną codziennością, kłopotami, problemami i wszystkim co sprzyja depresji, patrzyłam w ekran telewizora i słuchałam wiadomości. „Sensacja we Wrocławiu! W pierwszym meczu o mistrzostwo Polski w koszykówce mężczyzn Gwardia uległa na własnym parkiecie Górnikowi Wałbrzych!”

Nie, to niemożliwe. Zaraz, zaraz... O tytuł gra się do trzech zwycięstw... Pierwszy mecz u drużyny wyżej stojącej w tabeli. Teraz dwa u siebie. Jeśli pierwszy wygrali, to wystarczy teraz... Powoli Grażyna, może źle usłyszałaś, może ci się przyśniło, kładź się do łóżka, jutro wszystko się wyjaśni - pogadałam sama do siebie. W końcu telewizja kłamie, wiadomo - ostatnie tchnienia komuny.

Następnego dnia rano ostrym dzwonkiem do drzwi obudziła mnie mama. „Słyszałaś?” - zapytała wchodząc. Zatem nic mi się wczoraj nie przesłyszało i nie przewidziało. Mama też była kibicem i też oglądała wiadomości sportowe. Teraz stała w przedpokoju i patrzyła na mnie:

„No dobrze, jedź” - odszyfrowała moje myśli.

W 1982 roku nie mogłam jechać do Wałbrzycha na finał ligi. Klęłam wówczas jak szewc, ale co zrobić. Nawet nie wiecie, jak bardzo marzyłam o tym, by jeszcze w swoim życiu zobaczyć Górnika zdobywającego mistrzowski tytuł i to w Wałbrzychu! W marcu 1988 roku byłam na urlopie wychowawczym i nie było żadnych przeszkód, by wyjechać.

Przy śniadaniu nastąpiło ustalanie spraw oczywistych, czyli czy dzieci do babci, czy babcia do dzieci, kiedy wyjazd, kiedy powrót, co zostawić w lodówce, a co kupić babcia...

O przebiegu meczu dowiedziałam się dopiero we wtorek z „Przeglądu Sportowego”. Młodym wyjaśniam - internetu nie było, a „Przegląd” docierał do Łomży z jednodniowym opóźnieniem. Do tego trzeba było wstać wcześniej, żeby go otrzymać w kiosku. Towar był chodliwy i nie wystarczało go dla wszystkich. Zatem we wtorek skoro świt pobiegłam do jedyne go na moim nowym osiedlu kiosku i wracając czytałam relację. No nie - zagotowało się we mnie. Co ten (teksty niecenzuralne, w domyśle - redaktor) sobie myśli! Gdy na schodach dobiegłam do końcówki, o mało mnie nie trafił... To ja odzyskałam nadzieję na lepsze jutro, to moje życie stało się ponownie kolorowe i radosne, to ja jadę do Wałbrzycha, a ten mi takie rzeczy wypisuje? Mama też była oburzona komentarzem „Przeglądu”. Od tego momentu byłam już pewna - Górnik będzie mistrzem Polski. A co mnie wnerwiło, poczekajcie do końca mojej opowieści...

Część druga

Do Wałbrzycha dotarłam w piątek skoro świt. Tradycyjnie wysiadłam na dworcu Wałbrzych

Miasto i ziewając (takie były czasy, że człek mógł bezpiecznie podrzemać w pociągu) wsiadłam w autobus linii „0”, by dojechać na swoje rodzinne Nowe Miasto. Na dobre obudził mnie dialog mężczyzn zmierzających prawdopodobnie do pracy.

- Wygramy, nie ma sprawy.
- Nie wiem, Wrocław tak łatwo nie popuści.
- Co ty tu... Tytuł mamy już w kieszeni.
- Chłopaki dadzą sobie radę, kibice też. Zgnieciemy ich.
- Słyszałem, że biletów już nie ma.
- Ja już mam.

Nie ma biletów... Lekki dreszcz przeszedł mi po ciele... Trzeba natychmiast lecieć do klubu...

Chrzestny, u którego tradycyjnie zatrzymywałam się podczas pobytu w Wałbrzychu, nie był zaskoczony moim przyjazdem:

- A nie mówiłem, że przyjedzie! - krzyknął do ciotki widząc mnie w progu drzwi. - Takiego meczu nie odpuściłaby sobie.
- Meczów wujku, meczów, są dwa.

Jeśli moja rodzinka, która zupełnie nie interesowała się sportem, wiedziała o ważnych dla Wałbrzycha meczach, to znaczy, że wiedział o nich cały Wałbrzych i cały Wałbrzych mocno je przeżywał.

Po śniadaniu szybko pobiegłam do siedziby klubu. Mieściła się wówczas przy ulicy Chopina, w budynku, w którym jest hala lekkoatletyczna. Mówiąc wszystkim „Dzień dobry” wkroczyłam do jednego z klubowych pokoi. Strzał w dziesiątkę. Zastałam trzech kolegów mego nieżyjącego taty. Podobnie jak rodzina, nie byli zdziwieni moim przyjazdem.

- Podobno biletów już nie ma...
- E tam bilety, trzeba ciebie jakoś przemycić na halę i tyle - postanowili panowie.

Po krótkiej naradzie otrzymałam instrukcje, jak mam zachować się w czasie przemykania i po przemyczeniu. Aha, a w razie wpadki mam powiedzieć, że się nazywam Kulesza, to nazwisko w 1988 roku jeszcze w Górniku coś znaczyło.

Część trzecia

Nadeszła upragniona sobota 19 marca. Już dwie godziny przed meczem kręciłam się wokół hali OSiR-u, czekając na znak w celu przemykania mnie na mecz. Przed wejściem do hali, od strony ówczesnego PKS-u, (obecnie Aldi) zbierali się już kibice w biało-niebieskich szalikach. Ach, co to były za szaliki! Większość to „pasiaki” wykonane własnoręcznie przez... jak podejrzewam... mamy, siostry, dziewczyny, żony... Nie wyobrażam sobie, aby młodzi panowie sami dziergali je na drutach. Nikt nie narzekał na napis, bo go nie było, nikt nie biadolił na cenę, bo wystarczyło spruć

stare swetry, by wykonać nowy szalik. Najważniejsze były klubowe barwy zawieszane na szyi. Część zawisała potem na balustradach balkonów i stanowiła wspinający element dekoracyjny hali.

Podczas jednej z telewizyjnych transmisji meczu polskiej ligi, komentator i były koszykarz Tomasz Jankowski wspominał mecze w wałbrzyskiej hali. Mówił o balkonach i „zwisających” z nich kibiców, tak jakby mieli runąć zaraz na boisko. Nie wpływało to pozytywnie na zawodników przyjezdnych. Nie dziwię się. W 1988 roku dwa wypełnione balkony musiały tak właśnie oddziaływać na drużynę gości.

Na półtorej godziny przed meczem, drzwiami od ulicy zostałam wpuszczona do praktycznie pustej hali. Kazano mi szybko iść „tam na koniec”, żeby nie rzucać się w oczy. Zająłam miejsca tuż przy linii końcowej boiska. Na krzeselko powiesiłam kurtkę. Ale bądź tu człeku mądry, nie rzucaj się w oczy w pustej hali... Na szczęście również wtedy rozpoczęto wpuszczanie kibiców. Na moich oczach hala wypełniała się. Oczywiście najpierw weszli najwierniejsi i najgłośniejsi - zajęli stojące miejsca na balkonach. Obok zwisających szalików, na środku balkonu pojawił się transparent „Nie chcemy Kuchara i jego koncepcji dwóch silnych klubów”. Powód? Wtedy dla wszystkich był jasny - ówczesny trener reprezentacji i były trener koszykarzy Górnika (na przełomie lat 70/80), Andrzej Kuchar zaproponował, aby w dwóch klubach skupić najlepszych zawodników i oprzeć na nich pracę z reprezentacją. Oczywiście Górnik nie należał do „wybrańców”. Kibice zareagowali natychmiast, tym bardziej, że plotki głosiły, iż trener zjawi się osobiście na meczu... Zjawił się. Usiadł tuż przy sędziowskim stoliku, naprzeciwko transparentu. Kiedy robiłam mu zdjęcie, odwrócił głowę. Na szczęście moja migawka była szybsza i udało mi się utrwalić profil trenera.



1988 rok. Drugi z prawej - Leon Klonowski, trzeci Andrzej Kuchar

Hala wypełniona była po same brzegi, krzeselka wokół mnie też były zajęte. Jak podała ówczesna prasa - widownia liczyła TRZY TYSIĄCE osób. Mimo iż wokół mnie siedzieli nieznanymi osobie ludźmi, o zbliżającym się meczu rozmawialiśmy swobodnie. Wiadomo, ta sama rodzina - kibice.

I wreszcie godzina „0” - zawodnicy wyszli na rozgrzewkę, a o 17.00 rozpoczął się drugi mecz o mistrzostwo Polski. Nikt chyba nie spodziewał się, że będzie miał taki przebieg, jaki miał. Jedyne w pierwszych minutach Gwardia próbowała nawiązać równorzędną walkę z naszymi. Szybko zrezygnowała, widząc, że niczego nie wskóra. Nas KS był nie do przejścia. Wrocławianie odpuścili. Postanowili oszczędzać siły na niedzielę i tym samym pozwolili Górnikom na przeprowadzenie sparingu przed najważniejszym, niedzielnym meczem.

Nastrój na trybunach był iście piknikowy, ale w pozytywnym znaczeniu. Biliśmy brawa, krzyczeliśmy, żartowaliśmy z niemocy gwardzistów, nawiązywaliśmy nowe znajomości. Fajnie było. Wynik też był fajny. 129:82. Totalna masakra koszykarzy ze stolicy Dolnego Śląska. Podczas tego meczu poznałam Danke, od tamtej pory utrzymujemy ze sobą kontakt i ciągle wspominamy dwa cudowne dni spędzone w hali przy Wysockiego. Wychodząc z obiektu nie byliśmy jednak „pijane” zwycięstwem. Za dobrze znałyśmy się na koszykówce, by nie wiedzieć, że w niedzielę zapowiada się horror. Wrocław tak łatwo nie odpuści.

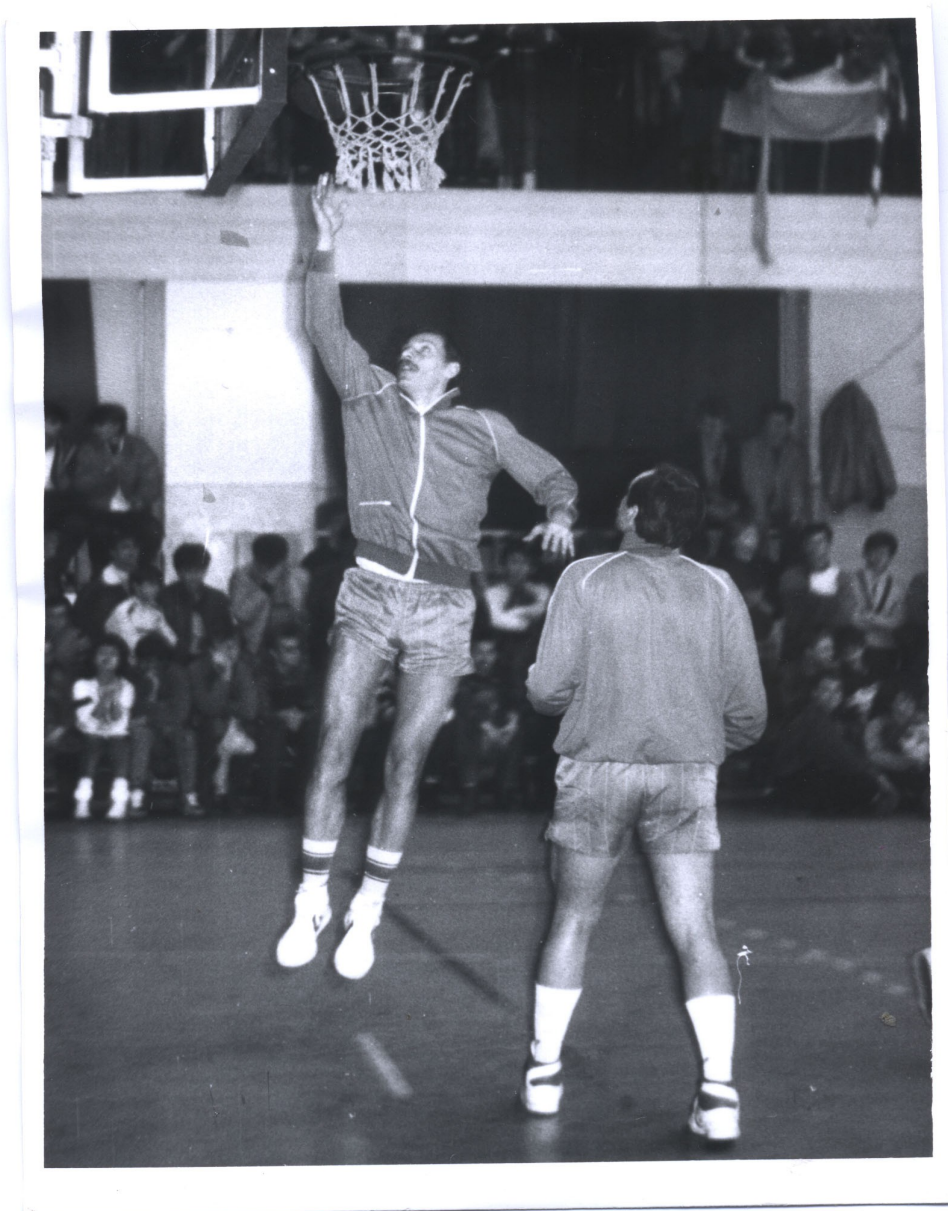


Słynny transparent podczas finałów 1988

Po wielu latach, jako kierownik III-ligowej drużyny koszykówki, podejmowałam w Łomży zespół Szkoły Mistrzostwa Sportowego z Warki. Jeden z trenerów wydawał mi się znajomy, ale tyłu

ludzi związanych z koszem znałam i widziałam, iż nie próbowałam nawet odszukać w pamięci kiedy i gdzie zetknęłam się z owym panem. Rozmawialiśmy o naszych miłych koszykarskich chwilach. Oczywiście moim popisowym tematem był rok 1988. Podzieliłam się wówczas refleksjami na temat taktyki Gwardii w pierwszym meczu, iż był to błąd, należało walczyć do końca, a nie oszczędzać się i pozwolić Górnikowi na przeprowadzenie sparingu. Mina mego rozmówcy zmieniała się, uprzejmy uśmiech powoli zniknął z twarzy. No tak, teraz już wiedziałam z kim rozmawiam. To był Krzysztof Walonis - trener Gwardii 1988...

W niedzielę 20 marca hala wypełniła się szybciej niż w sobotę. Miałam wrażenie, iż zwiększono w hali liczbę „porządkowych” (dzisiejsza ochrona). Pod halą w kilku radiowozach zainstalowała się ówczesna milicja.



1988 – rzuca Zenon Kozłowski, tyłem Stanisław Kielbik

Zajęłam to samo miejsce. Ludzi wokół siebie już znałam, wszyscy byliśmy już na "ty" bez zbędnych formalności. Zauważyliśmy, że pojawił się człowiek z kamerą. „O, telewizja przyjechała,
51

tak na wszelki wypadek, gdyby dziś był koniec rozgrywek" - ironizował jeden z sąsiadów. Rzeczywiście, w sobotę nikogo z kamerą nie było... Zjawił się też przedstawiciel PZKosz, z medalami złotymi i srebrnymi: „A jednak zdążyli wybić” - dodał drwiąco kolejny kibic. W Polsce nikt nie wierzył, że wygramy. Nikt, oprócz nas - trzech tysięcy kibiców i wielu na zewnątrz hali.

Mecz rozpoczął się o 16.00. W niczym nie przypominał sobotniego. Przez cały czas trwała równa walka. „Graliśmy” razem z zawodnikami. Chwilami miałam wrażenie, że od ilości decybeli wydobywających się z gardeł, hala zawali się. Do przerwy prowadzimy 48:35. Niby dużo, ale widząc przebieg meczu zdajemy sobie sprawę, że wszystko jeszcze może się przydarzyć. Nikt jeszcze nie świętuje. Na 12 sekund przed końcową syreną jest już tylko 77:76. Emocje sięgają zenitu. Fauluje wrocławianin. Nasi wyrzucają piłkę z linii bocznej. Chwyta ją Tadek Reschke... O! Kochani znajomi mego ojca! Ale mieliście nosa każąc mi siadać „na końcu hali”! Tadek z piłką jest tuż przy mnie! Mam wrażenie, że czuję jego oddech, na pewno widzę twarz - skupioną, pełną powagi. Patrzy prosto w oczy swym rywalom. Zaczyna spokojnie kozłować na swojej połowie. Piłka posłusznie odskakuje od dłoni, uderza o parkiet i wraca do koszykarza. Zerkamy na zegar. Zaczynamy odliczanie...6,5,4,3,2,1!!!!!!! KONIEC!!!!!!



Wręczenie medali mistrzom Polski 1988. Od lewej: Stanisław Anacko, Tadeusz Reschke, Jarosław Ludzia

Kibice siedzący przy boisku biegają w stronę zawodników. Ja oczywiście też. Docieram do Tadka. Udaje mi się rzucić na szyję ponad dwumetrowego mężczyzny. Które z nas było wówczas

bardziej szczęśliwe? Chyba płakaliśmy oboje. Nagle strzelił szampan. Niezastąpiony kierownik drużyny, wałbrzyszanin wierny Górnikowi, były zawodnik Leon Klonowski też wierzył w zwycięstwo. Szampan grzał się w torbie, był ciepły i znakomicie się pieniał. Zawodnicy, niczym mistrzowie formuły pierwszej, oblewali nim siebie i kibiców. Poczułam, że moje słone łzy radości stały się słodkie. Posmakowałam mistrzowskiego szampana. Miałam mokrą twarz, zwłaszcza grzywkę. Trener Jan Lewandowski powędrował oczywiście na ręce swych podopiecznych, kibice śpiewali „Sto lat”, a potem zapytali trenera reprezentacji: „Kuchar, co ty na to?”. Odpowiedzi nie otrzymali.

Wręczanie medali odbyło się na środku boiska. Kibiców poproszono o opuszczenie placu boju, „porządkowi” utworzyli krąg. Wyciągnęłam aparat fotograficzny. Mój „Zenith” wyglądał na profesjonalny, zatem ja wyglądałam na dziennikarkę. I tak oto dostałam się do zaczarowanego kręgu. Patrzyłam na wielką chwilę i udało mi się ją utrwalić na kliszy. Tym razem łzy wzruszenia cisnęły mi się do oczu. Dla takich chwil warto było pozostać wiernym Górnikowi, kibicować z odległości 600 km, pokonać te kilometry, by przeżyć największą radość swego sportowego życia.



Złoto na szyi Zenka Kozłowskiego....

Część czwarta

Po powrocie do Łomży nastął czas opowieści i troski o pamiątki z niezwykłego wydarzenia. Wklejając artykuły, wywołując zdjęcia opowiadałam mamie i swoim małym dzieciom o

najpiękniejszym dniu swego sportowego życia. Na honorowym miejscu powiesiłam plakat, który zabrałam z jednego ze sklepów na Słowackiego. Wszystko, jak widzicie, przetrwało i na pewno przetrwa jeszcze więcej.

Nadszedł też czas rozrachunku z "Przełogiem Sportowym". Napisałam list, którego fragmenty zacytuję. (Kopia listu pisana przez „kalkę” też jest starannie przechowywana).

Zakończyły się rozgrywki ligi koszykarzy i mistrzem Polski, ku rozpaczy „PS” i jego specjalisty od kosza - red. Bazyłowa zdobył Górnik Wałbrzych. Nie rozumiem jednak postawy "PS" w stosunku do nowo kreowanego mistrza. O ile się orientuję „PS” jest pismem ogólnopolskim czyli mówiąc górnolotnie - centralnym organem prasowym polskiego sportu. (...) Tymczasem po relacji z pierwszego meczu pomiędzy Gwardią a Górnikiem doszłam do wniosku, że „PS” jest gazetą tylko wrocławską, bo gdyby był dolnośląską, komentarz byłby zupełnie inny.

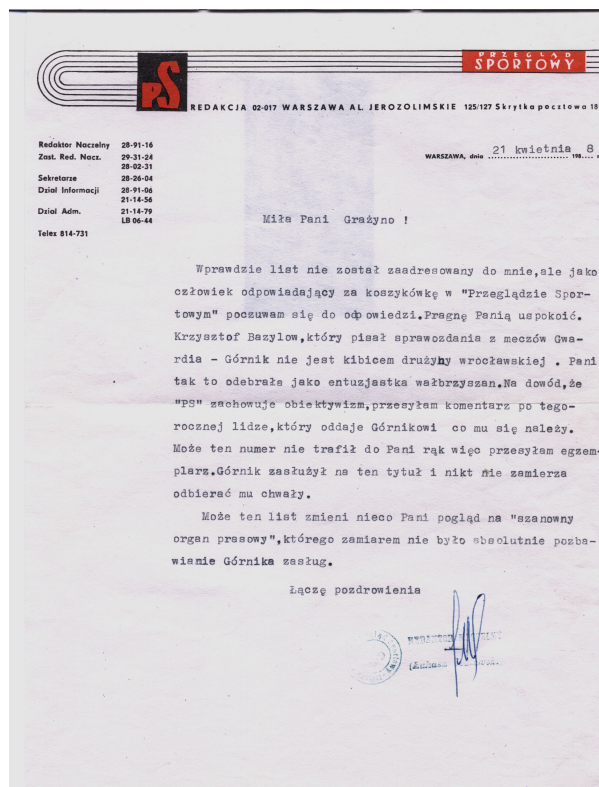
Red. Bazyłow już na początku rozpacza, że „żurnaliści” siedzieli za ławką wałbrzyszan. (...) Pan ze stolicy czuje się obrażony, że akurat za Górnikiem go posadzono. Jasne, jeśli czuje się antypatię do jednej z drużyn, to lepiej w ogóle się z nią nie zadawać. A może lepiej zmienić dyscyplinę? (...) Ale czytamy dalej, chociaż dalej jest tekst wyciskający tży z oczu jak ta biedna Gwardia przegrała. Bo trudno przecież napisać, w jaki sposób ten paskudny Górnik wygrał. Tak oto „obiektywna” relacja „PS” dotyczy wrocławian. Aż kipi w niej od tendencyjności i wyraźnego podziału na tych, których lubię i tych, co mi za przeproszeniem wiszą. Aby dobitnie podkreślić swój osobisty stosunek do poszczególnych drużyn, wysłannik „PS” ogłasza całej Polsce, że nie odwołuje hotelowej rezerwacji we Wrocławiu, bo „Gwardia powinna lepiej wypaść w sobotę i niedzielę” czyli tłumacząc z polskiego na nasze „Gwardia trzymaj się - PS jest z tobą!”. Chwila, moment, czy tak powinno wyglądać sprawozdanie z meczu? (...)

Popatrzmy na relację z meczy z Wałbrzycha. Już takie ręce i nogi to ma, bliższe prawdy. Ale brak w nim owych „osobistych wtrętów”, jak w pierwszej relacji. Nawet nie wiadomo, czy człowiek tam był, czy też pisał ze słuchu (czyli po rozmowie telefonicznej).

No i cóż, szanowny organie prasowy? Faworyt zawiódł, dziennikarz wyszedł na... A wystarczyło tylko być bardziej obiektywnym... Mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy, może za rok w Wałbrzychu?

Kiedy wrzuciłam list do skrzynki, ulżyło mi. Minęło trochę czasu, a tu nagle, niespodziewanie otrzymałam od „PS” odpowiedź! Napisał do mnie sam ówczesny naczelny - Łukasz Jedlewski, do listu dołączył numer gazety, a w nim artykuł o moim Górniku. Redaktora Jedlewskiego poznałam osobiście rok później w Warszawie na meczu Górnika z Legią. Próbowałam mu przypomnieć swój list i jego odpowiedź. Nie pamiętał. Ale...

„Odpisałem Pani?” - upewniał się. „To znaczy, że sprawa była ważna”. Siedzący obok mnie ówczesny "przełogowy" spec od NBA - Andrzej Skwirowski cicho dodał: „Jeśli naczelny odpisał, to list musiał zrobić wrażenie. Miałaś w nim rację”. Tak oto honor Górnika został uratowany!



Odpowiedź Przeglądu Sportowego...

XX

Oddech Górnika

„Podeszłam do stanowiska komentatorów. Kazano mi usiąść na trzecim krześle. Znajomy szepnął do red. Szaranowicza: ”Ona naprawdę zna się na koszykówce””

Moja miłość do koszykówki i Górnika trwa oczywiście do dziś. Praktycznie całe moje życie zostało jej przyporządkowane. Kiedy wyjechałam z Wałbrzycha, wszędzie szukałam ukochanej dyscypliny sportowej. A kiedy ją odnajdywałam, zawsze podkreślałam, że jestem kibicem Górnika Wałbrzych.

W ciągu tych lat dwukrotnie byłam w zarządach klubów sportowych. W jednym zasiadałam razem z tatą i dyskusje z zebrań, na temat wyższości koszykówki nad piłką nożną lub odwrotnie, przynosiliśmy do domu. Współorganizowałam turnieje koszykówki dla dzieci. Razem z młodymi koszykarzami uczestniczyłam w takowych. Pasjonowałam się rozgrywkami o mistrzostwo Łomży szkół podstawowych i średnich. Miałam nawet uprawnienia sędziowskie i siadywałam przy stoliku. Byłam kierownikiem trzecioliigowej drużyny seniorów, występującej w bardzo silnej wówczas grupie mazowiecko-olsztyńskiej. Przez kilka lat byłam dziennikarzem, a moją specjalnością była oczywiście koszykówka. O powyższej działalności mogłabym dużo opowiadać. Wybrałam jedną historię....

Posłuchajcie...

Lech na szczycie

W rozdziale „Warszawa 1989” opisałam mecz Górnika z Legią i mój niezwykle przyjazd do Wałbrzycha. Pamiętajcie, że wspomniałam tam, iż usiadłam wtedy przy stoliku prasowym? Nawiązałam wówczas bardzo cenne znajomości. Zapocentowały one jesienią tego samego roku. Bliższą znajomość zawarłam z Andrzejem Skwirowskim. To człowiek, o którym polskie dziennikarstwo koszykarskie zapomniało...

Andrzej współpracował wówczas z „Przełogiem Sportowym”, w którym na przełomie lat 1980/90 pisał o NBA. W katowickim „Sporcie” prowadził rubrykę „Koszykarz sezonu” opartą o punkty przyznawane przez dziennikarzy piszących sprawozdania z ligowych meczów. Wreszcie to on pierwszy siedział obok Włodzimierza Szaranowicza podczas pierwszych telewizyjnych retransmisji meczów NBA.

Jesień 1989 roku zapisała się w polskiej koszykówce wielkim wydarzeniem. Niestety, też o nim zapomniano. Czas przypomnieć.

Oto poznański Lech awansował do ósemki najlepszych europejskich drużyn! Nazywało się to wówczas Puchar Europy, dziś Euroliga. Drużyny grały systemem ligowym – mecz i rewanż. Po tej serii cztery najlepsze stawały do bezpośredniej walki o tytuł najlepszego zespołu na Starym Kontynencie. Lech znalazł się w doborowym towarzystwie. Jego rywalami były zespoły: FC Barcelona, Jugoplastika Split, CSP Limoges, Maccabi Tel Awiw, Philips Mediolan, Commodore den Helder i Aris Saloniki. Uwierzcie, były to ówczesne europejskie potęgi z izraelskim klubem do kompletu.

Co było marzeniem kibica koszykówki? Chyba jasne – obejrzeć owe potęgi. Spojrzeć w oczy najlepszym. Poczucie ich oddech. Poczucie dumę z polskiego klubu, że gra w europejskiej elicie. Kontakt z red. Skwirowskim zaowocował moimi trzema wyprawami do Poznania. Człowiek po prostu mnie tam zabierał, gdyż sam był wielkim fanem basketu. To była dla mnie wspaniała przygoda. Drugie wielkie koszykarskie wydarzenie w moim życiu (pierwszym oczywiście jest zdobycie tytułu Mistrza Polski przez Górnika).

Do Poznania jeździłam pociągiem ekspresowym z Warszawy. Skład pociągu był niemiecki i nawet w przedziale drugiej klasy siedziało tylko sześć osób, co było wówczas niezwykle zjawiskiem. Towarzyszyłam warszawskiej ekipie dziennikarskiej. Nie zawsze byliśmy w tym samym składzie. W każdym razie obok mnie w przedziale siadywali: Łukasz Jedlewski – ówczesny naczelny „Przełogu Sportowego”, nieżyjący już Krzysztof Bazyłow, też z „PS”, Włodzimierz Wojcieszak z ówczesnego „Ekspresu Wieczornego” i Janusz Pindera, dziś znany spec od boksu oraz oczywiście red. Skwirowski.



A tutaj na zdjęciu z redaktorem Jedlewskim z „Przeglądu Sportowego”. Tym samym, który odpisał na mój list po finałach w 1988 roku

Największym humorem tryskał red. Bazyłow. Podczas jednej z podróży od Warszawy Centralnej powtarzał, że coś ma i da dopiero w Kutnie. Tak potrafił nakręcić atmosferę w pociągu, że wszyscy z niecierpliwością czekali na dojazd do Kutna. Cóż miał? Oczywiście – piwo. Po jednym na głowę. Były to czasy, kiedy picie piwa w PKP nikomu nie przeszkadzało. Pouczał też nas, co zrobić, jeśli zapomniano się numeru pokoju hotelowego, w którym człowiek miał nocować: „Ja zawsze pytam w recepcji, w którym pokoju mieszka redaktor Bazyłow, a potem mówię, że to ja”. RODO wtedy też nie obowiązywało.

Przed pierwszą wyprawą Andrzej zwrócił mi uwagę na ważną sprawę. Jego zdaniem oczywiście. Jasne, miałam się chwalić, że jestem z Wałbrzycha i kibicuję Górnikowi, bo co Wałbrzych to nie Łomża, miałam podkreślać, że znam się na koszykówce, ale nie mogę mówić, że trenowałam pchnięcie kulą i rzut dyskiem w Górniku. Najlepiej jak powiem, że trenowałam koszykówkę w Unii Wałbrzych (nieistniejący już klub koszykówki żeńskiej). Do dziś nie kumam, dlaczego miałam zmienić dyscyplinę... Tak oto na użytek koszykarskiego Pucharu Europy zostałam wałbrzyską koszykarką...

Arena gwiazd

„Ekspresem” PKP wjechałam zimą do międzynarodowej koszykówki. Wykorzystałam czas ferii. Mecze rozgrywano bowiem w dzień powszedni, a w przypadku nauczycieli urlopu w dowolnym terminie nie było i nie ma.

Już nie pamiętam, czy do hali, w której rozgrywano mecze szliśmy pieszo czy jechaliśmy...

Dotarliśmy do niej po zmroku. Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu Areny, miałam wrażenie, że stoi w przysłowiowym szczerym polu. Nie myliłam się. Stoi w parku. Zimą nie dostrzegłam drzew. Zwróciłam natomiast uwagę na niezwykłą kopułę dachu. Taka cyrkowa....

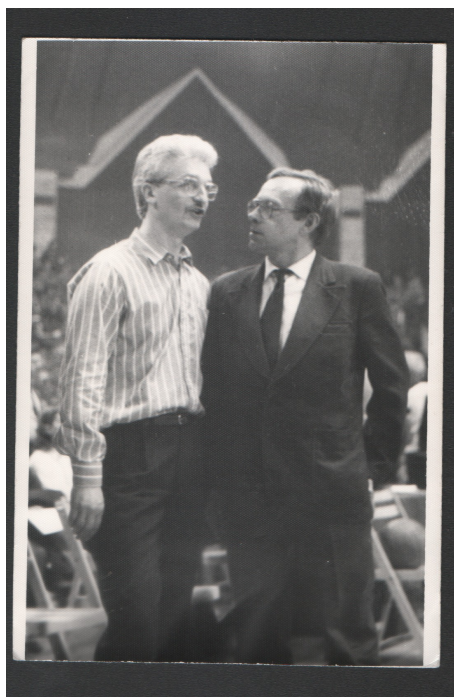
Do środka weszliśmy wejściem, dziś zwanym dla „VIP”. Kiedy zmierzaliśmy do szatni dla prasy, zrozumiałam dlaczego Arena to arena... Rzeczywiście była okrągła! Człowiek cały czas szedł „wokół” zamiast „prosto”. Dobra, wiem, nic rewelacyjnego... Może dla was teraz, ale nie dla dziewczyny w 1990 roku.

Wejście na boisko i ponownie oczy zrobiły mi się wielkie. Widownia też była okrągła. Normalny cyrk! Arena jest po prostu areną!

To była pierwsza „wielka” (oj, jak te czasy się zmieniają), hala sportowa, w której byłam. Na widowni było ponad 4 tys. miejsc, oprócz tego miejsca „specjalne” przy boisku. Tam też zasiedli dziennikarze. I ja. Zawsze lubiłam oglądać koszykówkę z „wysokości” parkietu.

Koszykarze Lecha Poznań należeli wówczas do grona najlepszych drużyn w Polsce. W zespole grały prawdziwe gwiazdy polskiego basketu: Eugeniusz Kijewski, Jarosław Jechorek, Tomasz Torgowski, Jarosław Marcinkowski, Piotr Baran, Władysław Puc, Zbigniew Bogucki, Dariusz Garstka, Tomasz Szafranski. Trenerem był Wojciech Krajewski.

Tomasza Torgowskiego spotkałam w 2006 roku podczas wałbrzyskiego Meczu Wspomnień. Przyjechał wraz z Jarosławem Jechorkiem. Porozmawialiśmy wówczas o dawnych, fajnych czasach. Był nawet zdziwiony, że ktoś jeszcze pamięta Lecha w dawnej Eurolidze... Właśnie, dlaczego nikt tego nie wspomina...



Wojciech Krajewski i Andrzej Skwirowski

W poznańskiej Arenie bywały wówczas najjaśniejsze gwiazdy europejskiego basketu. Niektórym przyjrzałam się z bliska. Pierwszym meczem, który obejrzałam, było spotkanie Lecha z

Arisem Saloniki. W drużynie greckiej ON – Nikos Galis - członek Galerii Sław FIBA, najlepiej punktujący zawodnik w historii Euroligi, Mistrz Europy 1987, czterokrotnie najlepiej punktujący zawodnik Mistrzostw Europy. Słowem – jeden z najlepszych europejskich koszykarzy w historii koszykówki. Artykuł w „Przeglądzie Sportowym” zapowiadający mecz w Poznaniu zatytułowano „Aris i król Galis”. Niewysoki (źródła podają od 182 cm do 185 cm), ciemnowłosy i ciemnooki Grek urodzony w USA bez problemu wchodził pod kosz. Lech przegrał z Arisem 78:103, w meczu z naszymi zdobył 39 punktów. Po spotkaniu był rozrywany przez dziennikarzy. Dołączyłam do ich grona z aparatem fotograficznym. Znalazłam się bardzo blisko Nikosa. Kiedy samodzielnie w domu wywoływałam czarno-białe zdjęcia, uśmiechnęłam się do fotki Galisa. On też się uśmiechał. Na fotce. Do mnie.



Wielki Nikos Galis wpatrzony w mój obiektyw

Kolejną gwiazdę, którą miałam okazję obserwować w poznańskiej Arenie „Przegląd Sportowy” zapowiadał artykułem „Mistrz i dziecko Europy”. To Toni Kukoc, grający wówczas w drużynie Jugoplastiki Split.

Nieznającym historii wyjaśniam: Istniało kiedyś takie państwo, co się nazywało Jugosławia,

która rozpadła się w 1991 roku. Między wchodzącymi w skład dawnej republiki narodami wybuchły konflikty zbrojne. Efektem tych działań było powstanie, a właściwie odzyskanie niepodległości przez Macedonię, Chorwację, Serbię, Słowenię, Bośnię i Hercegowinę. „Jugoplastika” z chorwackiego Splitu była potęgą jugosłowiańskiej i europejskiej koszykówki: sześciokrotny mistrz kraju, pięciokrotny zdobywca pucharu, trzykrotny mistrz Euroligi.



Toni Kukoc w Arenie Poznań, jeszcze jako gracz Jugoplastiki. Później trzykrotnie zdobywał mistrzostwo NBA z Chicago Bulls, u boku Michaela Jordana

Toni Kukoc to Chorwat. Do Poznania przyjechał w wieku 21 lat jako jeden z najlepszych zawodników Europy. Okrzyknięto go klejnotem basketu. Był już w kręgu zainteresowań NBA. Jadąc na mecz wielokrotnie podkreślaliśmy, że zobaczymy przyszłe gwiazdy najlepszej ligi świata. W gronie kandydatów do NBA był również kolega Toniego z zespołu – Dino Radja.

Tym razem obyło się bez wydarzeń specjalnych. Kilka zdjęć szczupłego młodzieńca, trochę rozmów na temat jego gry. Zarówno Toni jak i Dino nie pokazali żadnych fajerwerków, gdyż ich zespół wyraźnie dominował na parkiecie. Lech przegrał 73:120, Kukoc zdobył 11 punktów, a Radja – 19. Ostatnim meczem, na którym byłam w Poznaniu, to spotkanie z Commodore den Helder. Bez

wielkich gwiazd, bez specjalnych wydarzeń. Lech przegrał 96:111.



Dino Radja w Poznaniu. Później występował w NBA



Dwa lata po meczu w Poznaniu duet Radja-Kukoc zdobył z reprezentacją Chorwacji wicemistrzostwo olimpijskie, przegrywając w finale z wielkim Dream Teamem

Przygody

Podczas wypraw do Poznania przeżyłam dwie ciekawe przygody. Jako że byłam wtedy namiętym palaczem, w czasie przerwy wychodziłam na papierosa tym samym wyjściem, którym przemieszczali się zawodnicy obu drużyn. Kiedy zatrułam już organizm dawką nikotyny, stawałam przy samym wejściu na boisko, czekając na pozostałych palaczy z dziennikarskiej branży. Podczas takiego oczekiwania w przerwie meczu Lecha z Arisem przede mną wyrósł on, facet z moich marzeń - 218 cm wzrostu. Stojan Vrankovic (na zdjęciu z boku), Chorwat grający w barwach greckiej drużyny, później w NBA. Spojrzał na mnie i zaczęliśmy rozmawiać. O Polsce, o Poznaniu, o koszykówce i o hotelach, w których zatrzymaliśmy się. Niestety, były to dwa różne i z tego powodu zrobiliśmy smutne miny. Stojko wraz z drużyną wyszedł na parkiet, a ja patrzyłam na zdziwionego red. Skwirowskiego. „Co to było? Nie słyszałam jeszcze nigdy takiego kaleczenia języka angielskiego!”- prawie krzyknął. Rozmawialiśmy bowiem po... angielsku. Czy Vrankovic dostosował swoją znajomość obcego języka do mnie, czy też znał tak samo angielski jak ja, znaczy się praktycznie wcale, tego już się nie dowiemy. W każdym razie straciłam okazję na romans, ale zyskałam sporo wiedzy w zakresie nauczania swego przedmiotu (języka polskiego). Od tamtej pory mówię swoim uczniom, że podczas rozmowy nie tylko słowa są istotne. Ważna jest mimika twarzy, intonacja, wzrok⁹.

Druga przygoda była prawdziwie telewizyjna.

Mecz z Commodore den Halder dla telewizji polskiej komentował oczywiście Włodzimierz Szaranowicz, a u jego boku zasiadł mój znajomy Andrzej Skwirowski. Ja tradycyjnie klapnęłam wśród prasowej braci. W pewnym momencie Andrzej zawołał mnie. Podeszłam do stanowiska komentatorów. Kazano mi usiąść na trzecim krześle. Znajomy szepnął do red. Szaranowicza: „Ona naprawdę zna się na koszykówce. Jest z Wałbrzycha”. Podano mi czystą kartkę papieru i poinstruowano, że mam zapisywać przewinienia i ilość rzutów za trzy przy numerze każdego zawodnika. Za pomocą kresek. Szybko przepisałam z protokołu numery graczy, podzieliłam kartkę na dwie części i zaczęłam robić za dzisiejszy komputer. Tak moi kochani, kiedyś sprawozdawcy mieli na swoim monitorze tylko tzw. podgląd tego, co w odbiornikach u widza. Statystyk nie było.

⁹Stojko Vrankovic pojawił się w lutym 2019 roku na meczu reprezentacji Polski z Chorwacją, wygranym przez nasz zespół 77:69.



Ciocia Grażynka i Wojciech Szaranowicz

Stawiałam więc spokojnie kreski, a panowie komentatorzy zerkali na nie i informowali, ile kto ma fauli, ile razy kto rzucił za trzy. Dodam, że owe trzypunktowe rzuty obowiązywały w koszykówce fibowskiej dopiero od kilku lat i były w statystykach bardzo ważne.

Po powrocie z tego meczu oczywiście zapytałam koleżankę, której obowiązkowo kazałam mecz oglądać, czy tym razem było mnie widać w TV (podczas poprzednich meczów niestety nie było). Powiedziała, że tak!

W sumie był to mój pierwszy debiut telewizyjny. Potem „robiłam” sprawozdania i reportaże z lokalnej koszykówki w lokalnej telewizji. Obecność na wizji już mnie tak nie cieszyła. Nadal przechowuję prasowe artykuły z trzech meczów Euroligi 1989/1990. Patrząc na nie, czuję nie tylko poznańską atmosferę tamtych dni, ale również oddech mojego ukochanego Górnika. Towarzyszy mi od wielu, wielu lat podczas każdego mego spotkania z koszykówką. W każdym miejscu i o każdej porze.

I tak już zostanie!